

Legendy i bajania
Gminy Skawina

Legendy i bajania Gminy Skawina



Wydawnictwo pod honorowym patronatem
Burmistrza Miasta i Gminy Skawina
Adama Najdera

© Urząd Miasta i Gminy w Skawinie
www.um.skawina.net

Rynek 1, 32-050 Skawina
Tel. centrala: 12 277 01 00, faks 12 277 01 10
e-mail: urzad@um.skawina.net

Opracowanie:
Renata Bysina, Agnieszka Mikulec

Rysunki:
Magdalena Szynkarczuk

Korekta:
Marzena Sudoł

Projekt, przygotowanie do druku, druk:
Wydawnictwo PROMO
Zakrzów 346, 32-003 Podłęża
tel./faks 12 25 00 939, tel. kom. 502 43 13 54
e-mail: wyd_promo@tlen.pl

ISBN 978-83-60941-13-3

Spis treści

<i>Słowem wstępu</i>	<i>9</i>
<i>Babetta w Skawinie</i>	<i>11</i>
<i>Nieodkryty skarb</i>	<i>14</i>
<i>Zakłeci w kamienie</i>	<i>16</i>
<i>Nocne rozrachunki</i>	<i>18</i>
<i>Diabelskie igraszki</i>	<i>21</i>
<i>Buty dla księżycy</i>	<i>24</i>
<i>Tatarska mogiła</i>	<i>26</i>
<i>Dar matki chrzestnej</i>	<i>28</i>
<i>Przygoniowe zasadzki</i>	<i>30</i>
<i>Skawiński palec</i>	<i>32</i>
<i>Świat czarownic</i>	<i>34</i>
<i>Topielcowe kuszenie</i>	<i>36</i>
<i>Owinie i Skawinie</i>	<i>38</i>
<i>O niebieskim wędrowaniu</i>	<i>40</i>

<i>Królewskie słowo</i>	42
<i>Dar rzeki</i>	44
<i>Królewskie towy</i>	46
<i>Duch ojca</i>	49
<i>Biała pani</i>	51
<i>Pasiedzkie nazwy</i>	54
<i>Bibliografia</i>	55



Za górami, za lasami, za rzekami żył sobie król, który upodobał sobie dolinę rzeki Skawinka. To miejsce tak przypadło królowi do gustu, że wybudował tu zamek, a w jego pobliżu ulokował nowy gród, któremu nazwę nadał od przepływającej nieopodal rzeki. Takie były początki naszego miasta. Jak niesie wieść gminna, *była też królewna...*, ale to już zupełnie inna bajka.

Cóż by dotarło do współczesnych czasów, gdyby nie opowieści przekazywane przez wieki z ust do ust? Na ile są autentyczne i prawdziwe – trudno powiedzieć. Każda bowiem kolejna osoba, w zależności od potrzeb, coś dodawała lub gubiła, ubarwiając w ten sposób swoją opowieść. Jestem jednak przekonany, że przy wnikliwej lekturze w każdej z legend znajdą Państwo przysłowiowe ziarno prawdy.

Baje, bajki, legendy, przypowieści. Jakie one piękne, jakie tajemnicze, jak wiele mówią o nas samych, o naszych upodobaniach i przyzwyczajeniach. Zawsze jednak zapraszają do cudownego świata dzieciństwa, w którym pełno czarów i tajemnic. Baje, bajki, legendy, przypowieści – są o nas i dla nas.

Serdecznie zapraszam Państwa do lektury.

Adam Najder

Skawina, październik 2010 r.



Słowem wstępu

Ludzie od zawsze lubili słuchać opowieści. Chcieli, wraz z ich bohaterami, przeżywać miłosne uniesienia, życiowe dramaty, ekscytujące przygody. Pragnęli poczuć dreszczyk emocji, a nawet trochę się bać...

Stąd od najdawniejszych czasów niezwykłą popularnością cieszyli się śpiewacy i gawędziarze, którzy w długie, zimowe wieczory potrafili przenosić słuchaczy w świat królów, rycerzy, smoków, duchów, strzygoniów i czartów. Legendy zaprzętały ludzkie umysły, pobudzały wyobraźnię, wyolbrzymiały nieznane i niezrozumiałe zjawiska. Łączyły prastary świat pogański z tradycjami chrześcijańskimi.

Legendy były też przedsionkiem historii. Wojciech Łysiak dodaje jednak: *Nie należy szukać w nich odzwierciedlenia historii. Legenda bowiem łączy w sobie wątki rozgrywające się na przestrzeni wieków, nie rozdziela wydarzeń wcześniejszych od tych późnych. (...) Tu czas i przestrzeń określane są często ogólnie, a szczególny nacisk położony jest na wydarzenie. (...) Musiało być ono obserwowane przez wiejską społeczność danego obszaru i odcisnąć na niej określone piętno: negatywne bądź pozytywne.*

Dla młodego czytelnika ludowe opowieści mogą być również inspiracją do poznawania i odkrywania jego małej ojczyzny, gdyż niejednokrotnie – przy odrobinie wyobraźni – każdy odnajdzie w swej miejscowości krajobrazy znane z legend.

Telewizja, internet, powszechna edukacja wyparły lub wypłoszyły legendy z ludzkiej świadomości. Jeden z mieszkańców gminy powiedział: *Wraz z nastaniem telewizji na wsiach przestało straszyć.* Media przejęły bowiem na siebie rolę bawienia i... straszenia.

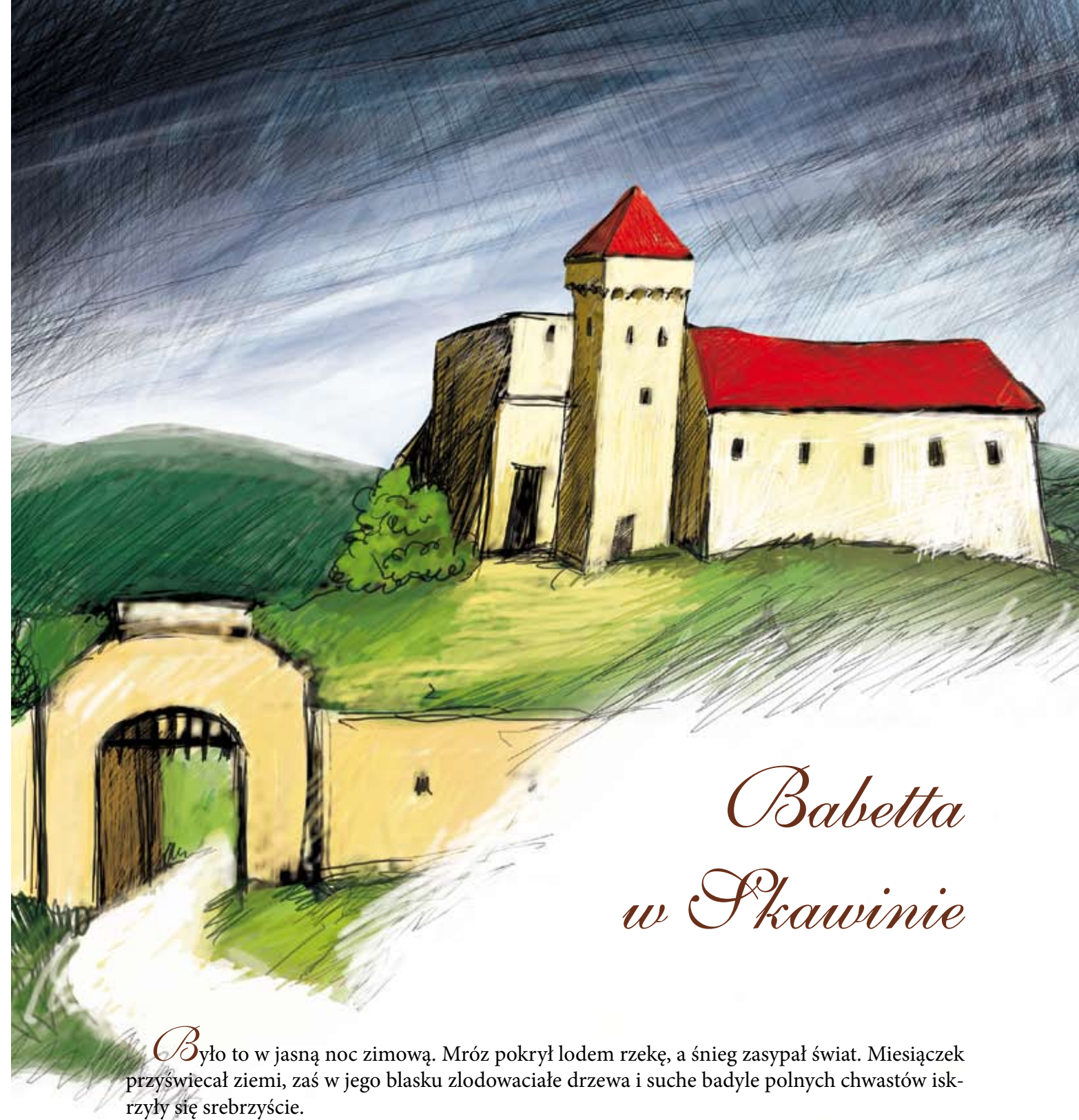
Słuchając dawnych opowieści i przeglądając muzealne zapiski, odkrywałyśmy, że niektóre historie pojawiają się w kilku miejscowościach, niektóre krążą w różnych wersjach, bowiem droga powstania legendy może być zawiła i często trudno dotrzeć do informacji wyjściowej, która dała jej początek.

Gromadząc materiały do niniejszego opracowania, skorzystałyśmy z bogatych zbiorów Muzeum Etnograficznego w Krakowie oraz życzliwości mieszkańców naszej gminy, którzy podzielili się z nami opowieściami z dawnych lat, a do których skierowali nas sołtysi poszczególnych miejscowości, za co wszystkim serdecznie dziękujemy.

W sposób szczególny dziękujemy Panom Witoldowi Grabcowi i Henrykowi Krupnikowi za wyrażenie zgody na przedruk tekstów przez nich opracowanych.

Mamy nadzieję, że lektura niniejszego zbioru legend i opowieści sprawi Państwu przyjemność poznawania tego, co przez długie wieki opowiadali nasi przodkowie.

Renata Bysina
Agnieszka Mikulec



Babetta w Skawinie

B było to w jasną noc zimową. Mróz pokrył lodem rzekę, a śnieg zasypał świat. Misiączek przyświecał ziemi, zaś w jego blasku zlodowaciałe drzewa i suche badyle polnych chwastów iskryły się srebrzyście.

Na tronie polskim zasiadał już Władysław Jagiełło, ale w sercach ludu wciąż pozostawała pamięć o Kazimierzu zwanym królem chłopów.

Do sędziwego już Zawoja – pana zamku skawińskiego – przybył w gościnę stary druh Gniewko. Po sutej kolacji przysiedli tuż przy kominku, z którego biło ciepło, a i przyjemnie było słyszeć trzask palących się suchych kawałków drewna. Sługa Gniewka szarpnął struny lutni i zaczął śpiewać:

*Umarła Babka w Skawinie!
A któż jej główkę zawinie?
Szkoda by było niebogi,
żeby nie ludzki gniew srogi!*

Nagle śpiew przerwały wnuki Zawoja, pytając:

– Dziadku, dziadku, kim była Babka?

Dzieciaki lubiły wieczorne spotkania przy ogniu, bo co rusz ktoś umilał czas śpiewem lub barwną opowieścią.

Bystre oczy Zawoja, spoglądające spod zrośniętych brwi, dziwnie zapłonęły. Wąskie nozdrza zadrgały. Zbyt wiele ludzkich krzywd, zbyt wiele bolesnych chwil wiązało się z osobą Babki, więc Zawoj schował pamięć o przeszłych wydarzeniach głęboko w zakamarkach pamięci i nie chciał do nich wracać. Jednak prośby wnucząt nie ustawały:

– Dziadku, powiedz przecie.

Zawoj, wiedząc, że ciekawe działości nie ustąpią, a i lepiej by wiedziały z wiarygodnego źródła, rozpoczął niespiesznie.

– Działo się to za króla Kazimierza. Dobry z niego gospodarz był. O kraj dbał, sprawiedliwe rządy sprawował, możnych tego świata na uczty spraszał. Jedyną jego słabością było uleganie wdziękom coraz to innych białogłów.

Z dnia na dzień znudził się powabną Żydówką, Esterką, a zachłysnął urodą kruczocharnej Włoszki – Babetty, którą skawinianie nazywali Babką.

– A skąd wzięła się w Skawinie? – zapytały zainteresowane dziatki.

– Jedni powiadają, że po jakimś czasie i ona znudziła się władcy, zaś inni podają, że dworzanie chcieli zapobiec, by przebiegła, zbyt ambitna i chciwa niewiasta nie korzystała zbyt długo z łask władcy i nie zagościła na stałe w jego sercu. Tak czy owak, król wybudował jej w naszym mieście zamek i nakazał tutaj zamieszkać.

– A dlaczegoż teraz my mieszkamy w tej warowni? – dopytywały wnuczęta.

– Skomplikowane to dzieje. O tym opowiem następnym razem.

– Dziadku, to takie ciekawe, nie daj się prosić.

Zawoj, acz niechętnie, ciągnął swoją opowieść, nie przywykł bowiem od-
mawiać swoim wnuczętom.

– Ano, odziedziczyłem to miejsce wraz z wioskami i młynami.

– Niepodobna! Jakże to? – zapytał zdziwiony najstarszy z wnuków.

– Długo by opowiadać. Zdecydował tu nieprzewidziany ciąg przypadków. Kiedy Babetta zamieszkała w Skawinie, próbowała różnych sposobów, by wkraść się jeszcze w łaski króla. W tych poczynaniach szczególnie naraził się jej Przemko z Lisowszczyzny, zastawiając jej drogę na Wawel, za co ona za wszelką cenę chciała się na nim zemścić. Przyjacielem Przemka był mój rodzony ojciec Dobos. Babetta, zlecając starającemu się o jej względy Wrzostkowi, aby doprowadził do niej wroga, przyczyniła się do zabicia mego rodziciela, rozdzielenia mnie z siostrą, wiecie – Polusią, i uczynienia mym ojczymem pana na Barwałdzie – wspomnianego, okrutnego Wrzostka.

Przez intrygi Babetty nie jeden raz Skawina musiała się bronić przez złupieniem i zniszczeniem. Aż wreszcie w wigilię Bożego Ciała 1364 roku, kiedy starszyzna miała odebrać z rąk królewskich akt lokacji miasta, doszło do strasznego nieszczęścia. Wrzostek, pałający nieokiełznaną chucią do Włoszki, kazał spalić miasto, a księża siłą przymusił do udzielenia im ślubu.

Odtąd Babka stała się panią na Barwałdzie. Dalej jednak jej żądza zemsty na Przemku nie została zaspokojona. A że była ko-

biętą niezwykle pamiętliwą, ciągle żądała od Wrzostka jako dowodu miłości, widoku cierpiącego w lochach pana z Lisowszczyzny. Mąż, pragnąc przypodobać się żonie i nie zważając na wydarzenia sprzed lat, kiedy to Przemko uratował mu życie, pojmał go i uwięził w podziemiach barwałdzkiego zamku. Życzeniu Babetty wreszcie stało się zadość. Przemko miał zgnieć w zatęchłej, wilgotnej i ciemnej celi, zapomniany przez wszystkich. Jednak jam go wyzwolił...

Tu Zawoj przerwał. Zamyślił się i zapatrzył w ogień. Wszystkim się zdawało, że jego myśli odpłynęły w daleką przeszłość. W ciszy, która zapanowała w komnacie, słychać było tylko trzask palących się w kominku bierwion i głębokie westchnienia opowiadającego.

Po chwili starzec, jakby zbudziwszy się ze snu, począł mówić dalej:

– Co się działo dalej, długo by opowiadać... Wróćmy jednak do Babetty. Po tragicznej śmierci Wrzostka, zagryzionego przez wilka, długo broniła się na Barwałdzie przed królewskimi rycerzami, bowiem władca zareagował ostro i zdecydowanie na próbę uwięzienia bliskiego jego sercu rycerza Przemka i na wcześniejsze skargi ludu widzącego sprzymierzanie się Wrzostka ze zbójcami, zamiast obrony traktów przed nimi.

Wreszcie twierdza padła. Król, mimo dowiedzionej Babetty winy, przez wzgląd na dawną zażyłość nie chciał jej karać, tylko osadził z powrotem w Skawinie.

– I co? Koniec historii? – zapytał jeden z wnuków.

Zawoj, jakby nie słysząc pytania, kontynuował.

– W tych komnatach spędzała swe ostatnie lata. Dawna piękność, u której stóp klęczał kwiat rycerstwa polskiego, kobieta dumna, silna i wykorzystująca swój wdzięk do osiągania zamierzonych celów, snuła się po zamkowych komnatach odziana w wypłowiałe, zaniedbane, stare szaty, nieuczesana, z ciągle ponurym licem. Jakże często wybiegała myślami do słonecznej Italii, gdzie kąpała się w ciepłym morzu, piła słodkie wino, spotykała ludzi lubiących zabawę i tańce, a tutaj co? Tylko jesienne pluchy, zimowe śnieżyce, gorzkie piwo oraz straszliwa samotność i przejmująca cisza wokół. Znienawidzona przez mieszkańców Skawiny, skończyła swój żywot w zapomnieniu. Gdy umarła, nikt nawet nie przyszedł, by oddać jej ostatnią posługę. Dopiero ja, dowiedziawszy się o wszystkim, przybyłem tu, wyprawilem jej pogrzeb i złożyłem jej ciało w podziemiach tynieckiego klasztoru. Właśnie mnie, przybranemu synowi, zapisała to, co jej zostało.

Wnuczęta zaśłuchały się w opowieść dziadka, Gniewko zmęczony podróżą i słuchaniem historii, którą dobrze znał, pochrapywał oparty o ścianę, drwa w kominku dopalały się, a do komnaty weszła cicho opiekunka dzieci zaniepokojona późną porą.

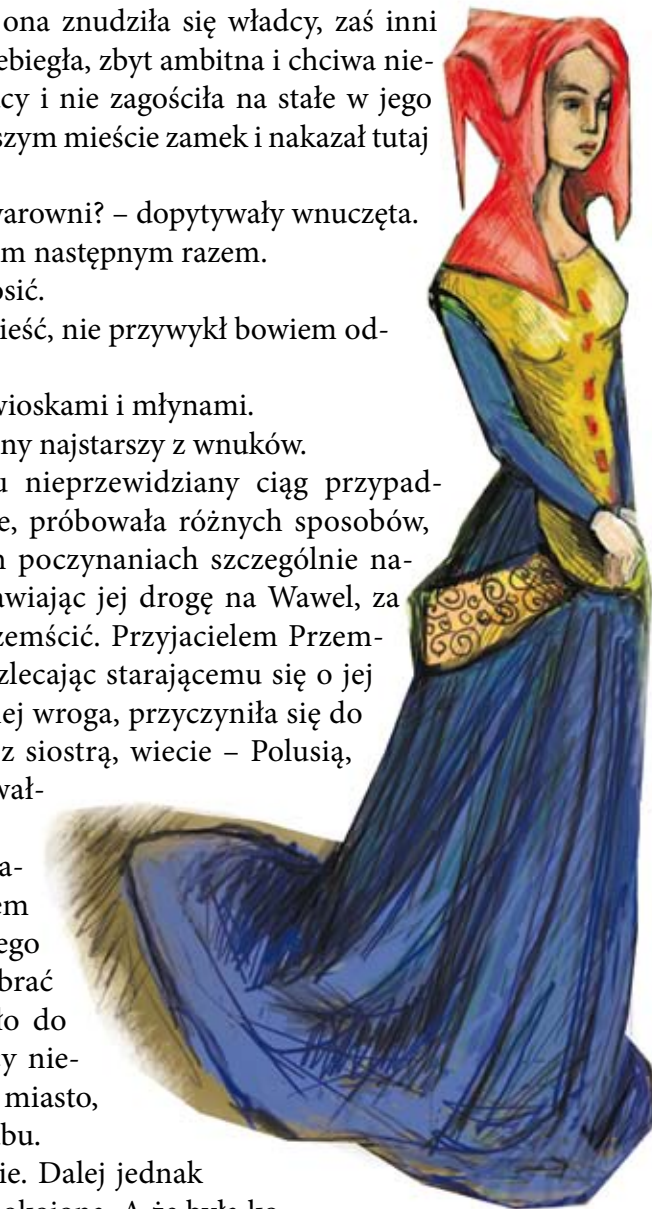
Zauważył to Zawoj i rzekł:

– Działki me drogie, czas na spoczynek.

Po wyjściu wnucząt Zawoj długo jeszcze spoglądał w czerwony żar ogniska. Poprzez opowieść wróciły dawne wspomnienia, w których mieszały się miłość i nienawiść, ból i radość, szlachetność i zdrada, a wszystko to powiązane nieprzewidywalnymi wyrokami losu...

Powyższy zapis stanowi skrót legendy opracowanej przez Henryka Różyckiego „Umarła Babka w Skawinie”. Proponujemy sięgnąć do wspomnianej książki w celu zapoznania się z rozszerzoną i barwną wersją opowieści.

Opracowanie:
Renata Bysina i Agnieszka Mikulec



– Ponieważ nie spełniłeś mego warunku i nie milczałeś, przeniosłem skarb w inne miejsce. Gdybyś nie przeklinał, ty byłbyś bogaty, a ja zbawiony. Teraz muszę czekać kolejne sto lat na taką szansę.

Franciszek srodze się zasmucił, że tak łatwo stracił cierpliwość i sposób wzbogacenia się. Wyjechał wkrótce w świat, gdzie wykorzystywał swoje zdolności w poszukiwaniu złota. Być może miał więcej szczęścia niż w swojej rodzinnej wsi. Kto wie?

Opracowanie:
Renata Bysina i Agnieszka Mikulec

Nieodkryty skarb

W Borku Szlacheckim mieszkał kiedyś bardzo bogaty rolnik, który miał rozległe pola uprawne, pastwiska, łąki i lasy.

Pewnej nocy, gdy smacznie spał, śniąc o pomnażaniu swojego bogactwa, pojawił się przed nim, nie wiedzieć na jawie czy we śnie, biały duch.

Rolnik przestraszył się zjawy, schował głowę pod pierzynę i szcękając zębami, zaczął odmawiać pacierze. Gdy już myślał, że duch zniknął, wyjrzał ostrożnie zza pościeli, a tu co? Duch stoi i cierpliwie czeka. Cóż było robić? Trza stawić czoła zmorze. Duch zaś ozwał się grobowym głosem:

– Na twojej ziemi jest zakopany wielki skarb. Na górcie pod wielkim kamieniem. Kiedy wracałem z wojny, sam tam ukryłem złoto i kosztowności. Teraz tobie właśnie chcę to wszystko podarować. Pamiętaj jednak, że możesz go wydobyć jedynie w nocy, zachowując całkowite milczenie. Tylko nie mów nikomu o naszym spotkaniu.

Po tym zniknął. Rolnik, oprzytomniawszy nieco, mruknął pod nosem, że coś mu się baje, przewrócił się na drugi bok i usnął.

Kiedy jednak następnego dnia przejeżdżał koło kamienia, przypomniał sobie nocne widzenie i stwierdził, że nie zaszkodzi się przekonać, ile w nim prawdy.

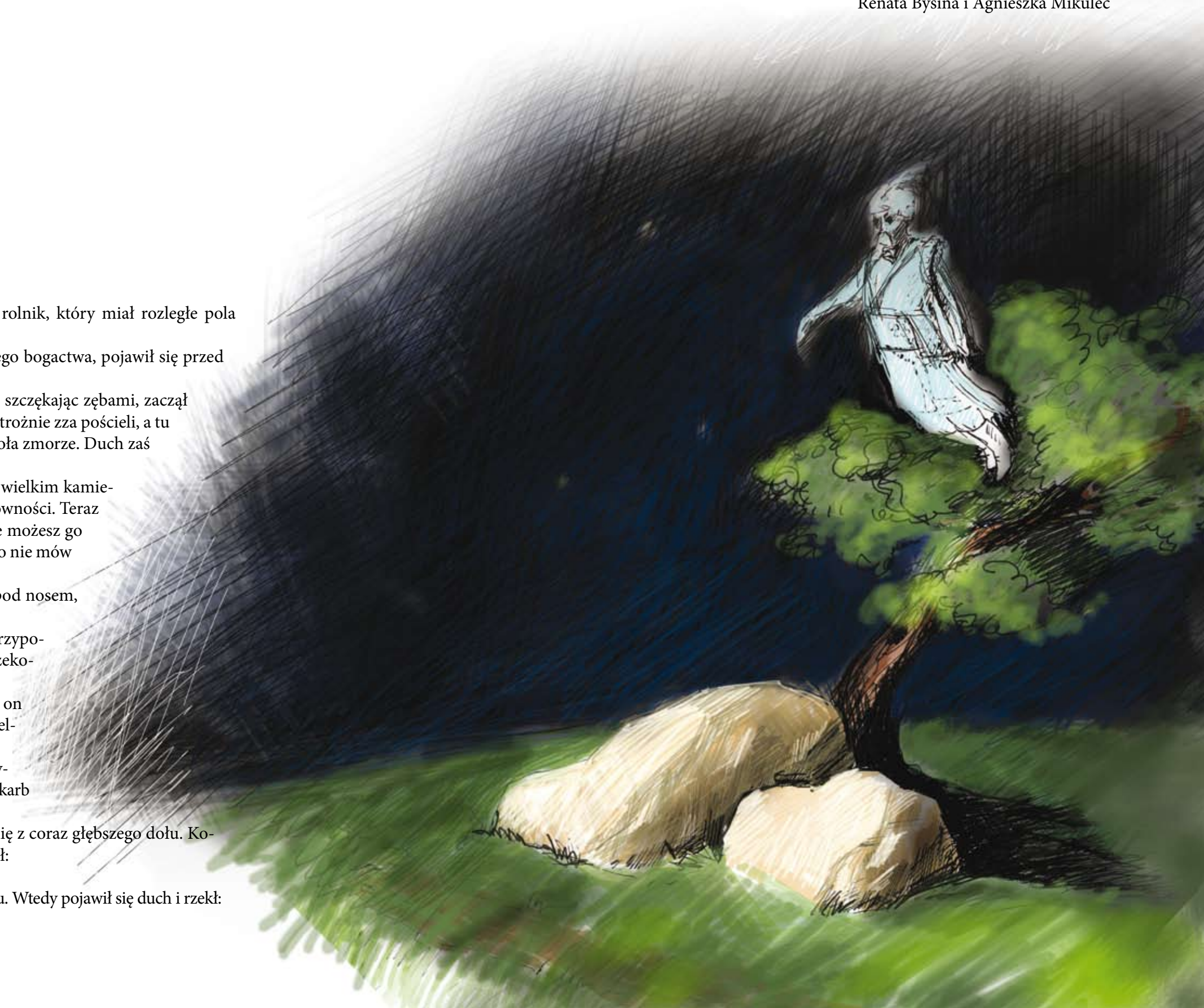
Nocą, gdy wszyscy domownicy smacznie pochrapywali, on ubrał się, wziął łopatę i udał się w pole. Kopał zawzięcie, aż wielkie krople potu zrosiły jego twarz, ale skarbu nie znalazł.

Następnej nocy było tak samo. Jednak nie dał za wygraną. Pomyślał, że teraz już nie podaruje i choćby całe pole miał przekopać, skarb znajdzie.

Trzeciej nocy odwalił głaz i z zapalczywością wyrzucał ziemię z coraz głębszego dołu. Kopał i kopał, a skarbu nie było. Wzięła go straszliwa złość i zaklął:

– Psia by to mać! Alem głupi dał się zbałamucić!

Wygramolił się z dziury, pozbiierał narzędzia i udał się do domu. Wtedy pojawił się duch i rzekł:





Zakłeci w kamienie

Dawno, dawno temu, w czasach, gdy rzeka Skawinka stanowiła granicę Królestwa Polskiego, a wieś Jurczyce należała do Księstwa Opolskiego i była ziemią pogranicza, miało miejsce pewne wydarzenie, po którym do obecnej chwili została pamiątka.

Nad rzeką Mogiłką leżała mała osada złożona z domów drewnianych, krytych strzechą, a obok znajdowały się pola uprawne należące do Kaspra Jurczyckiego – właściciela ziemi i ludzi tam zamieszkających. Po drugiej stronie Mogiłki rozciągała się puszcza dębowo-lipowa ze zwierzem różnym. Na szczycie pagórka jurczyckiego stał folwark, a po jego wschodniej stronie biegła droga do Radziszowa, uczęszczana jedynie w czasie świąt i niedziel, kiedy podążali nią ludzie do kościoła.

Obok folwarku, przy drodze do Gołuchowic, znajdowało się kilka domów podobnych do tych przy Mogiłce. Ta część Jurczyc należała do Michała, który był człowiekiem, jak na owe czasy, wykształconym, to znaczy umiał czytać i pisać. Tego nauczył się u zakonników w Tyńcu, gdzie ojciec podesłał go na nauki, gdyż planował, że syn zostanie księdzem. Gdy Michał wrócił w lecie do domu pomagać przy zarządzaniu gospodarstwem, tak spodobało mu się życie na

wsi i widoki rozciągające się hen daleko za Kraków, Wisłę i góry dalekie, że przestał myśleć o kapłaństwie.

Został przy rodzicach. Były to czasy, gdy w lasach przebywały bandy zbójckie i nocami napadały na domostwa, rabując majątek, a w razie oporu nawet mordując właścicieli. Michał – jako człowiek znający pismo – udawał się ze skargami do grodu Oświęcim, gdzie mieściło się starostwo, sąd i więzienie. A że był również człowiekiem wygadany, namówiono go, aby został urzędnikiem. Michał zgodził się i tak stał się podsędkiem. Oczywiście mieszkał w folwarku w Jurczycach, a do grodu w Oświęcimiu udawał się na wezwanie gońca.

Kasper, o którym mowa była wcześniej, posiadał młodą i piękną żonę o imieniu Weronika. Ta odznaczała się bogobojnością i w każdą niedzielę udawała się wasągiem do kościoła w Radziszowie, gdzie przyjeżdżał również bryczką Michał.

Pewnej majowej niedzieli, gdy wracano z kościoła, rozpętała się burza. Wszyscy schronili się w karczmie znajdującej się w posiadłości Kaspra, zaraz za granicą Radziszowa. Tam poznali się piękna Weronika i wygadany, inteligentny Michał. Panowie Kasper i Michał przy kuflach piwa prowadzili rozmowę o gospodarstwie, ciężkich czasach i pięknie życia w grodzie Oświęcim.

Weronika była zachwycona opowieściami Michała. Burza minęła i schronieni w karczmie zaczęli wychodzić. W drzwiach wyjściowych Michał pochwycił dłoń Weroniki i szepnął jej, aby spotkali się jeszcze dzisiaj pod potężnym, wiekowym dębem. Drzewo rośło w gaju znajdującym się na granicy ich ziem, gdzie płynął niewielki strumień. Wieczorem oboje udali się na schadzkę. Widział ich bartnik, który akurat doglądał swe ule.

Nagle ponownie rozpętała się burza z błyskawicami i grzmotami. Wtem piorun uderzył w dąb, pod którym schronili się Michał i Weronika. Na noc ani ona, ani on nie wrócili do swoich domów.

Nazajutrz rozpoczęto poszukiwania, a bartnik wskazał Kasprowi miejsce, gdzie ostatni raz widział rozmawiającą parę. Pod spalonym od pioruna dębem znaleziono dwa potężne kamienie, których nigdy wcześniej tam nie widziano. Co się stało z Weroniką i Michałem? Nie wiadomo, być może zostali za karę przemienieni w kamienie, a może wyjechali daleko, by żyć razem. Nie wiadomo... Zrozpaczony Kasper sprzedał ziemię i nabył nowe gospodarstwo nad Dunajcem koło Zakliczyna.

Kamienie zaś aż po dziś dzień można zobaczyć w lasku Kamień.

Opracowanie:
Henryk Krupnik



Nocne rozrachunki

- Słyszeliście najnowszą nowinę?
- Jaką, jaką? Tę, że znowu cię Maryna zostawiła? – zaśmiał się rubasznie Franek.
- Nie. Stary Kuba mówił, że na cmentarzu straszy! Kiej szedł tamtędy nocą, bo mu akurat tak droga wypadła, widział, jak w kostnicy się świeciło, słyszał też jakieś głosy.
- Eeee tam... banialuki. Na cmentarzu umrzyki, one nic nie gadają, a światło im niepotrzebne. Stary Kuba niech mniej pije, to i głosów z tamtego świata słyszał nie będzie.
- A ja bym tam sprawdził – powiedział ochoczo Jasiek.
- Myślałby kto, że taki z ciebie chwat! Nie bałbyś się?! – zapytał Władek.
- Ani trochę. Chcecie, żebym wam udowodnił?
- Dobrze. Zróbmy zakład. Ja stawiam, że uciekniesz, gdzie pieprz rośnie, tylko ci jeden listek z cmentarnej brzozy spadnie na łeb – znów zakpił z Jaśka Franek.
- A i ja chętnie pójdę z nim – zaproponował Maciek.
- Zakład?
- Zakład.
- No to się napijmy za moją wygraną! – zuchwale wykrzyknął Jasiek.
- Niedoczekanie twoje – zadrwił Franek.

I wszyscy zaczęli się śmiać.

Następnej nocy, a trafiła się akurat taka z tych ciemnych, bezksiężycowych i strasznych, Jasiek i Maciek wybrali się przed północą na cmentarz. Ubrali się w ciemne kaptury, by nie było ich widać.

Przyczaili się przy jednym z grobów i czekali. Minuty ciągnęły się w nieskończoność. Raz po raz po plecach śmiałków przeleciał zimny dreszcz, gdy wiatr zagwizdał między krzyżami albo nisko nad głowami przefrunęła, pohukując, sowa. Nic się jednak nadzwyczajnego nie działo.

- Bujdę ktoś puścić, a my daliśmy się nabrać na jakoweś cmentarne strachy
- rzekł zrezygnowany Jasiek.

- Zabierajmy się stąd – odparł Maciek.

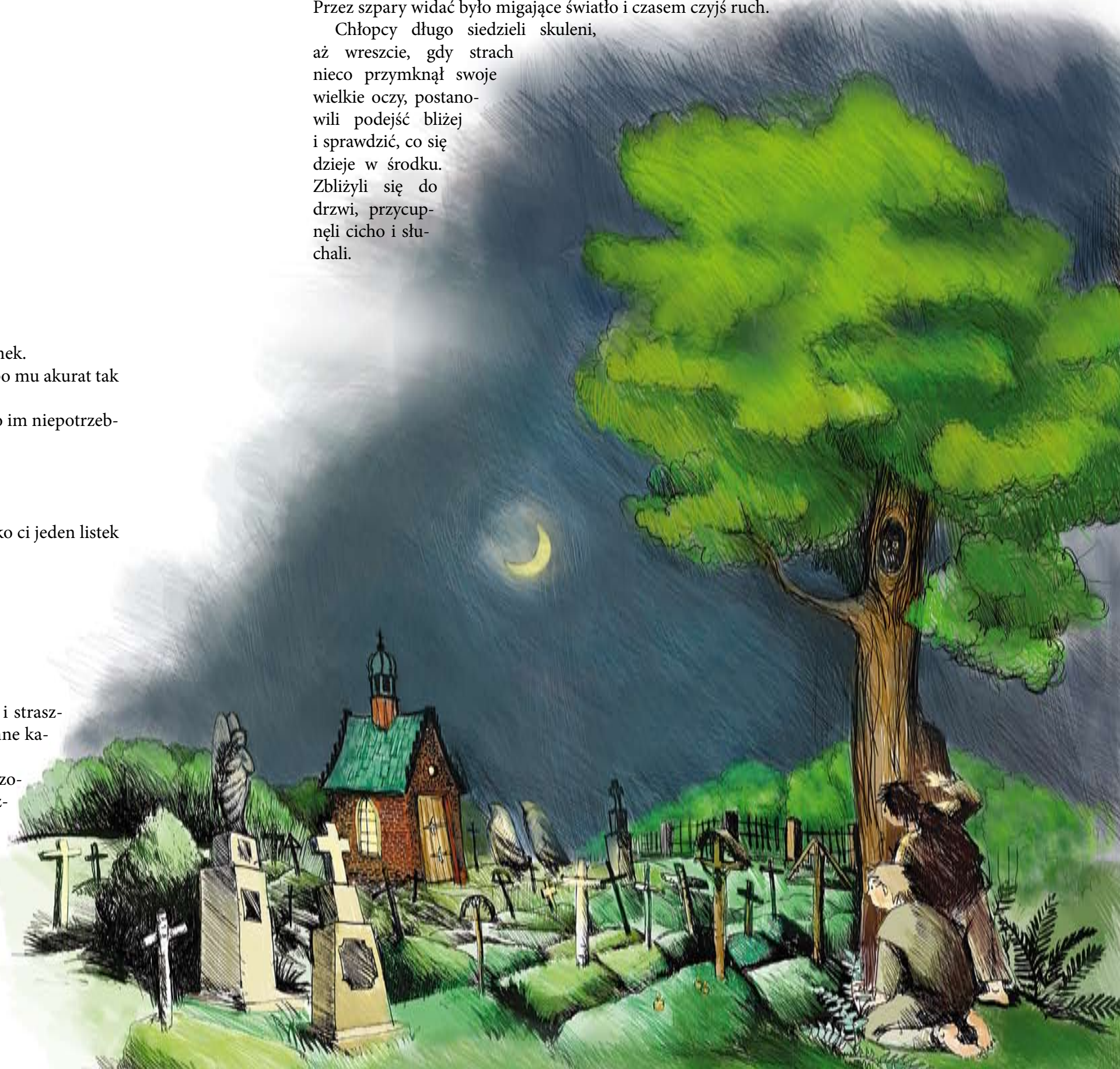
Wtem usłyszeli kroki. Dwie ciemne, zakapturzone postacie z wielkimi brzuchami kierowały się do kostnicy. Jasiek i Maciek znieruchomieli. Drzwi

budynku otwarły się, ponuro skrzypiąc, a im się zdawało, że w tym skrzypieniu słyszeli czarci chichot.

- To muszą być diabły – wyszeptał Maciek, szczękając zębami.
- Uhm – potwierdził Jasiek, bo nie mógł z siebie głosu wydobyć.
- Siedzmy tu cicho, żeby nas nie dojrzały.

Tymczasem rzekome diabły weszły do budynku, zapaliły lampy naftowe i zamknęły drzwi. Przez szpary widać było migające światło i czasem czyjś ruch.

Chłopcy długo siedzieli skuleni, aż wreszcie, gdy strach nieco przymknął swoje wielkie oczy, postanowili podejść bliżej i sprawdzić, co się dzieje w środku. Zbliżyli się do drzwi, przycupnęli cicho i słuchali.



– Ten dla mnie, ten dla ciebie, ten dla mnie, ten dla ciebie, ten dla mnie... – z głębi pomieszczenia wydobywał się mocny, męski głos, przerywany od czasu do czasu dziwnym, głuchym trzaskiem, a potem mlaskaniem.

- Muszą ci one dusze dzielić – szepnął pobladły Maciek.
- Uhm – z Jaśkowego gardła znów nie mógł wydobyć się głos.
- Ten dla mnie, ten dla ciebie... – ciągnęło się wyliczanie.

Chłopcy stali jak zahipnotyzowani. Patrzyli na siebie szeroko otwartymi oczami i nie wiedzieli, co zrobić. Wytężyli słuch, gdy wyliczanie ucichło, ale dalej słyszeć było rozmowę:

- Koniec?
- Koniec.
- Wszystkie podzielone?
- Wszystkie.
- A te dwa, co siedzą pod drzwiami?
- A, jeszcze o tych zapomniałem.
- No to dawaj je!

Kiedy jednak drzwi się otworzyły, Michała i Jaśka już nie było. Uciekali na łeb, na szyję, byle dalej od tego strasznego miejsca...

Potem długo jeszcze opowiadali, jak to byli świadkami czarcich rozrachunków.

A jak było naprawdę? Dwaj grabarze nabyli „sposobem kradzionym” całe tobołki orzechów. Przychodzili do kostnicy, by się nimi podzielić, a że drzwi ciągle się otwierały (bo wciąż zapominali je naprawić) podłożyli więc pod nie dwa orzechy.

Strach naprawdę ma wielkie oczy...

Opracowanie:
Renata Bysina i Agnieszka Mikulec

Diabelskie igraszki

Był las. Stary, potężny, ciemny. Przez ten las ludzie z Grabia musieli chodzić do kościoła. A że droga daleka, a i w słotę błoto niemiłosierne, skracali sobie wędrowną, przechodząc przez niewielki wąwóz.

Grabianie byli dobrzy i bogobojni, dlatego też diabeł postanowił trochę namieszać w ich głowach i duszach. Próbował tak i siak, znajdował powody do kłótni, nakłaniał do pijaństwa i lenistwa, zachęcał do zazdrości. Niestety, nic mu się nie udawało.

W końcu stwierdził, że zrobi tak, by nie chodzili do kościoła. Zastanawiał się, jak to osiągnąć? Myślał, myślał, aż w końcu wymyślił.

Postanowił utrudnić drogę i zniechęcić grabian do niedzielnego wędrowania na nabożeństwo. Do wąwozu skracającego drogę przytaszczył ogromny kamień. Trudził się przy tym okrutnie, bo stary już był i coś mu w krzyżu strzykało, a głaz okazał się wyjątkowo ciężki i wielki.

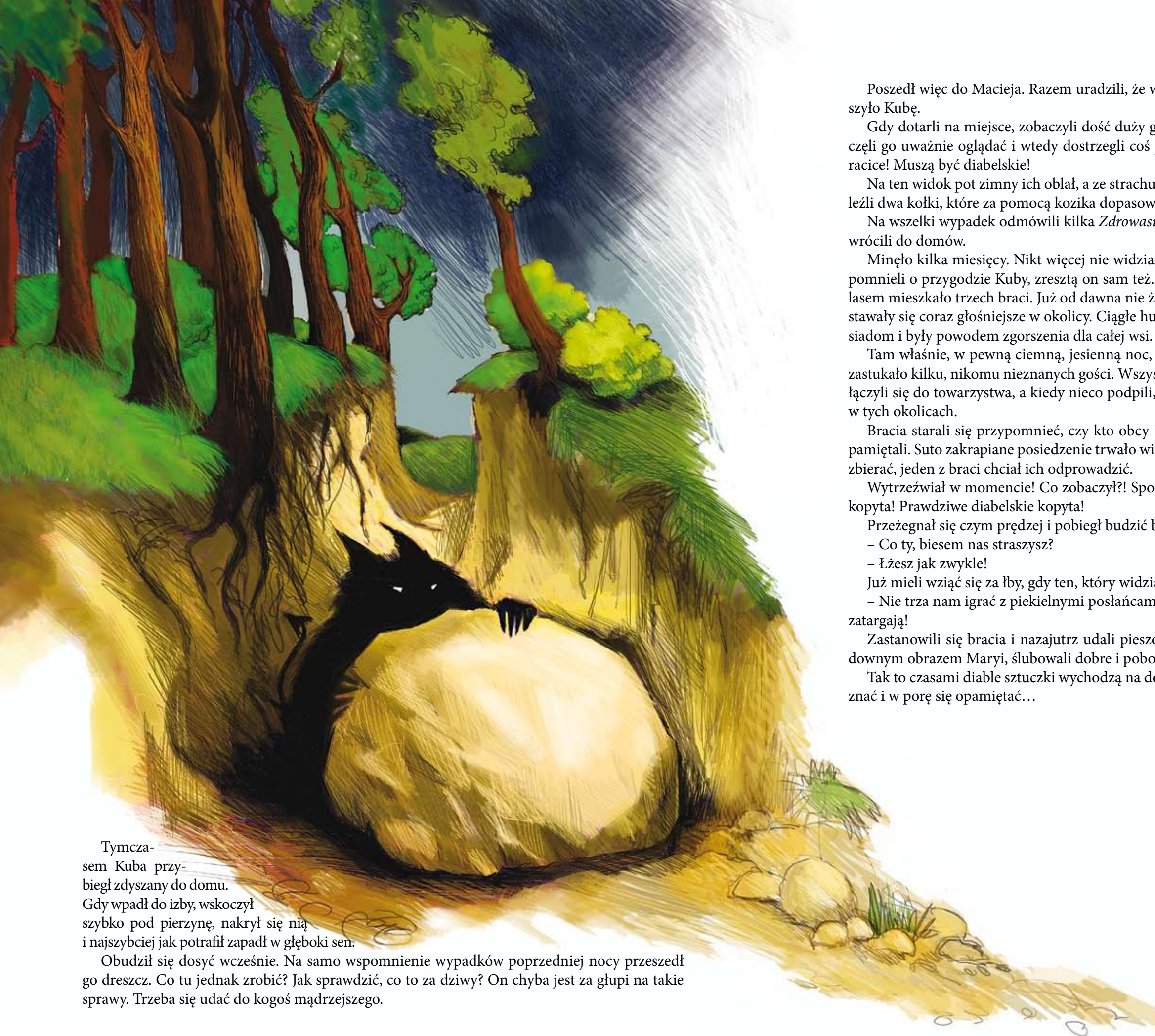
W tym samym czasie z hucznych chrzcina wracał do domu Kuba. Wypadło mu iść właśnie przez wąwóz. W głowie, oprócz gorzałki, miał jeszcze piękne, modre oczy Kasieńki, która dziś szczególnie chętnie się do niego uśmiechała. Szedł rażno, podśpiewując:

*Przy drzewinie na olszynie
rośnie owies wąsaty.
Niech se chłopak potańcuje,
kiedy nie jest żonaty.*

Nagle przed jego oczyma rozbłysło coś dziwnego. Burza w taką gwieździstą noc? Nie, to coś innego. Postanowił sprawdzić, co to jest, i zaczął skradać się w stronę światła. Gdy odsłonił gałęzie, ujrzał ogromny kamień, z którego tryskały jaskrawożółte i czerwone iskry.

– Toć to musi być czarcia robota! – pomyślał i natychmiast wytrzeźwiał. W te pędy ruszył przed siebie.

Letnie noce bywają bardzo krótkie, więc szybko zaczęło świtać. Diabeł uwijający się przy kamieniu usłyszał nagle pianie koguta. Musiał przerwać robotę. Zaklął siarczyście, jak tylko diabeł potrafi, czym prędzej wydlubał dziurę w kamieniu i wskoczył do niej. Trzeba wam bowiem wiedzieć, że niektóre diabły mogą chodzić po świecie tylko nocą.



Tymczasem Kuba przybiegł zdyszany do domu. Gdy wpadł do izby, wskoczył szybko pod pierzynę, nakrył się nią i najszybciej jak potrafił zapadł w głęboki sen.

Obudził się dosyć wcześnie. Na samo wspomnienie wypadków poprzedniej nocy przeszedł go dreszcz. Co tu jednak zrobić? Jak sprawdzić, co to za dziwy? On chyba jest za głupi na takie sprawy. Trzeba się udać do kogoś mądrzejszego.

Poszedł więc do Macieja. Razem uradzili, że w kilku chłopów pójdą i sprawdzą, co tak wystraszyło Kubę.

Gdy dotarli na miejsce, zobaczyli dość duży głaz. Zwykły kawałek skały. Nic strasznego. Zaczęli go uważnie oglądać i wtedy dostrzegli coś jakby ślad. Przypominał... o rety! Toć to dwie racice! Muszą być diabelskie!

Na ten widok pot zimny ich oblał, a ze strachu ugięły się pod nimi kolana. Czym prędzej znaleźli dwa kołki, które za pomocą kozika dopasowali do kształtu śladów i wetknęli w otwory.

Na wszelki wypadek odmówili kilka *Zdrowasiek* i modlitwę do Michała Archanioła, a potem wrócili do domów.

Minęło kilka miesięcy. Nikt więcej nie widział błyszczącego kamienia i ludzie już prawie zapomnieli o przygodzie Kuby, zresztą on sam też. Zajęli się innym tematem. Otóż, w chacie pod lasem mieszkało trzech braci. Już od dawna nie żyli tak, jak Bóg przykazał, ale teraz ich wybryki stawały się coraz głośniejsze w okolicy. Ciągłe hulanki, pijatyki i kłótnie dawały się we znaki sąsiadom i były powodem zgorszenia dla całej wsi.

Tam właśnie, w pewną ciemną, jesienną noc, w czasie jednego z pijackich spotkań do drzwi zastukało kilku, nikomu nieznanym gości. Wszyscy byli pięknie ubrani, uczesani, ogoleni. Przyłączyli się do towarzystwa, a kiedy nieco podpiłi, powiedzieli, że szukają kamrata, który zaginął w tych okolicach.

Bracia starali się przypomnieć, czy kto obcy kręcił się tu niedawno, ale niczego takiego nie pamiętali. Suto zakrapiane posiedzenie trwało więc dalej. Nad ranem, gdy nieznajomi poczęli się zbierać, jeden z braci chciał ich odprowadzić.

Wytrzeźwiał w momencie! Co zobaczył?! Spod eleganckich spodni nieznajomych wystawały kopyta! Prawdziwe diabelskie kopyta!

Przeżegnał się czym prędzej i pobiegł budzić braci. Ci z początku nie dawali wiary.

– Co ty, biesem nas straszysz?

– Łez jak zwykle!

Już mieli wziąć się za łby, gdy ten, który widział kopyta, rzekł:

– Nie trza nam igrać z piekielnymi posłańcami, bo szybko się o nas upomną i w tamte światy zatargają!

Zastanowili się bracia i nazajutrz udali pieszo do Kalwarii Zebrzydowskiej. Tam, przed cudownym obrazem Maryi, ślubowali dobre i pobożne życie. I ślubów dotrzymali.

Tak to czasami diable sztuczki wychodzą na dobre człowiekowi. Musi tylko właściwie je rozpoznać i w porę się opamiętać...

Opracowanie:
Renata Bysina i Agnieszka Mikulec

Buty dla księżycy

Siwe wody szerokiej Wisły przetaczające się wartko przez polskie ziemie mogłyby zaśpiewać niejedną pieśń o wydarzeniach, których były świadkiem. Widziały i przerażenie ludzi na widok wawelskiego smoka, i smutek Wandy, którą litościwie przyjęły w swe ramiona, i nadzieję na szczęśliwą miłość wplataną w świętojańskie wianki, rzucane w ich toń.

Opowiadałyby również mrozącą krew w żyłach historię, która wydarzyła się w Kopance.

Razu pewnego jeden chłop, złoścąc się i wymachując rękami, wykrzykiwał na całe gardło do swojego sąsiada:

– Niech no ja złapię tego gałgana, co mi którąś noc z kolei siano rozwała! Człowiek się narobi, na słońcu i skwarze namęczy, musi kosić, grabić, w kopki składać... Komary go gryzą, pot leje się strugami, a potem co?! Przyjdzie taki i ludzkiej pracy nie uszanuje! Tylko siano rozwali i jeszcze je starasi, że do niczego się nie nadaje!

– A jużci. Wiem ci ja o tym, bom od twojej baby słyszał. Ale co począć?

– Nie ma co gadać po próżnicy. Trza wziąć sprawę w swoje ręce i samemu sprawdzić. Niech no tylko dorwę tego zbója!

Jak postanowił, tak zrobił. Wybrał się w nocy pilnować swojej łąki. Siedział ukryty w zaroślach porastających brzegi Wisły i czekał.

Koło północy przyszła wielka, na biało ubrana baba i siadła na kopce siana. Pokręciła się, powierciła i widać uznała, że nie dość jej tu wygodnie, więc przeszła na drugą. Tak próbowała umościć się na kolejnych kopkach, niszcząc każdą z nich. Wreszcie rozłożyła się na tej zrobionej najbliżej chłopca. Mógł ją teraz dokładnie obserwować.

Baba tymczasem wyciągnęła szewskie narzędzia i ze świetlistej materii poczęła szyc wielkie buty, przy czym tak śpiewała:

*Miesiącčku, miesiącku
Ty mój złotorogi
Uszyję ja buty
Na twe długie nogi.*

*Żebyś mógł se chodzić
Po gwiaździstym niebie
Żeby się uśmiechał
Cały świat do ciebie.*



Chłopu oczy prawie wyszły na wierzch, bo nigdy nie widział takiego dziwowiska. Ale zaraz przypomniał sobie, po co tu przyszedł i jak nie ruszy z wielkim kołkiem na babę!

– Niech cię czarci wezmą, przebrzydła wiedźmo!

I z całej siły uderzył babę w głowę, aż ta odpadła.

Zerwała się baba i pobięła bez głowy za chłopem, który, przerażony, uciekał ile sił w nogach.

Był już na polu sąsiada, kiedy się odwrócił i zobaczył, że łeb baby podskakiwał za nią. Zatrzymał się, rozdziawił gębę, a wtedy dostrzegł, że łeb wskoczył jej na kark. Co więcej, to nie baba! Toż to sama śmierć! Trupia czaszka, kościsty kadłub! Kostucha we własnej osobie! Oniemiał, włosy stanęły mu dęba, poczuł, że nogi przyrosły mu do ziemi. Pobiełalymi ze strachu wargami wyszeptał:

– Jezusie, Maryjo, ratuj!

Okazało się, że już jest uratowany. Baba, odzyskawszy głowę, wymachując pięściami, przybiegła do miedzy i z całych sił wrzasnęła:

– Żeby nie ta granica, nie miałbyś już ty swojego łba na miejscu!

I zniknęła.

Odtąd kopki stały tak, jak je chłop postawił. I nikt więcej na jego łące butów dla księżycy nie szył.



Tatarska mogiła

Gdzie są Sziubienice, każdy z mieszkających w Jurczycach z dziada pradziada wie. Dawnymi czasy obszar Jurczyc tworzyły bagniste łąki trudne do przebycia. Od strony Radziszowa na strumyku wpadającym do rzeki Mogiłki utworzył się staw, a przez jego groblę wiodła droga do Jurczyc, prosto w kierunku dworu na wzgórzu. Mijając bagna, wpadała do wąwozu porośniętego gęstymi krzakami i drzewami. Po prawej stronie traktu znajdowała się karczma, a dalej, na północ, stało kilka domów drewnianych krytych strzechą. To właśnie ta część Jurczyc nazwana została później Sziubienice. A dlaczego?

Trudne było życie mieszkających tam ludzi. Teren podmokły, zimny, ziemia niedobra dla uprawy roli. Kto jako dziecko przeżył, był silny, zdrowy, zahartowany. Ludzi przybywało, a wieś mała. Dlatego Andrzej – właściciel Jurczyc – w formie daniny ofiarował młodych mężczyzn księciu krakowskiemu do drużyny wojów. Po kilku latach służby u księcia wojownicy ci, co przeżyli lub byli ranni, wracali do swoich chat i pracowali dla dworu.

W 1241 roku Tatarzy wtargnęli na ziemie polskie, paląc, mordując i biorąc w jasyr. Po spaleniu Krakowa jeden z oddziałów skierował się z Tyńca wzdłuż rzeki, grabiąc i biorąc w niewolę ludzi z posiadłości klasztornych aż do Radziszowa. Część oddziału udała się przez groblę do Jurczyc, wpadając do przysiółka po prawej stronie drogi, lecz tu spotkał ich zawód. Łuny pożarów z Krakowa i okolicznych wsi były widoczne z pagórka jurczyckiego, więc mieszkańcy wsi opuścili swoje domostwa, ukrywając się z dobytkiem w niedostępnej puszczy za Mogiłką. Tatarzy splądrowali i spalili ich puste domy oraz dwór. Był już wieczór i mgła z bagnistych łąk zakryła groblę i drogę odwrotu do Radziszowa.

Tatarzy kluczyli konno po pagórku, bojąc się utopić w bagnach. Zobaczyli to ludzie ukryci za Mogiłką na górze Kielek i postanowili zadziać. Jako byli wojownicy drużyny książęcej, obcy z walką, wzięli siekiery, widły, drągi i przebywszy Mogiłkę, zasadzili się przy grobli na wracających Tatarów. Mgła się zwiększyła, co sprzyjało jurczycanom. Gdy tatarskie hordy zbliżały się do grobli, zaczajeni mieszkańcy uderzyli na nich. Konie się spłoszyły i uciekły w stronę łąk, zapadając się aż po brzuchy w bagnach. Dzielni wojowie drągami i widłami wyciągnęli Tatarów, rozbroili ich i wzięli w niewolę. Dumni ze zwycięstwa postanowili powrócić do wsi.

Niestety, zastali spalone domy i ogarnęła ich taka wściekłość na Tatarów, że na zgliszczach domostw wybudowali z ocalałych belek szubienice i powiesili wszystkich najeźdźców. Rano zakopali ich w jednym miejscu, zwanym odtąd Psim Polem. Chat w tym miejscu już nie odbudowali, gdyż bali się duchów pomordowanych wrogów. Podobno nocą w miejscu starej osady słyszeć jęki i wycia duchów Tatarów, a nawet w dzień wędrujących tam ludzi nagle przechodzą zimne ciarki po plecach, co jest zrozumiałe dla znających tę legendę.

Po ustąpieniu najazdu tatarskiego pan Andrzej podarował bezdomnym mieszkańcom część ziem koło dworu po lewej stronie drogi pod budowę nowych domów. Postawiono je wzdłuż drogi i dlatego ta część Jurczyc zwana jest „W ulicy”.

Opracowanie:
Henryk Krupnik

Dar matki chrzestnej

Jego najbiedniejsza w okolicy chata stała na skraju Zelczyny. Była to lepianka przykryta starą strzechą i ogrodzona lichym płotem z patyków powbijanych niedbale w ziemię. Oprócz Wojciecha i jego żony w ubogiej izbie musiało się pomieścić siedmioro wątłych dzieci, niedomagająca na zdrowiu babka oraz koza z zapadniętymi bokami – jedyna żywicielka rodziny.

Kiedy na świat przyszło ósme dziecko, Wojciech dziękował Bogu za dar, ale spoglądając z niepokojem na pobladłą w połogu żonę, martwił się, bo był zbyt biedny, by kogoś z sąsiadów prosić w kumy. Pamiętał, jak wielki miał z tym kłopot przy narodzinach poprzednich dzieci. Prosił, prosił, ale nikt w wiosce nie chciał się zgodzić.

Pewnego dnia wracał utrudzony z pola, ledwo powłócząc nogami, gdy na swej drodze spotkał wysoką, chudą i bardzo bladą panią, która zapytała:

– Co cię tak trapi, dobry człeku?

– Ano, frasuję się wielce, bom otrzymał łaskę od Boga – dziecko mi się narodziło – a nikt nie chce trzymać go do chrztu. Co ja teraz, biedny, pocznę?

– Nie martw się. Widzę, żeś pocziwy, więc wybawię cię z kłopotu – powiedziała pani i zgodziła się być matką chrzestną małego Antka. Kazała iść do plebana i zamówić chrzest na najbliższą niedzielę.

Ucieszył się Wojciech niepomniernie. Nie wiedział, jak ma dziękować dobrej pani. Pobiegł do domu i opowiedział o wszystkim żonie.

O umówionym czasie pani stawiała się w kościele. Po skromnej i krótkiej ceremonii przepadła jakby rozpułyła się w powietrzu. Nikt nie zauważył, kiedy zniknęła, nikt nie widział, w którą stronę się udała.

Minęło kilka dni, gdy tajemnicza chrzestna pokazała się ojcu dziecka i nakazała mu, aby Antek został w przyszłości lekarzem. Wojciech zmartwił się srodze, złapał za głowę i rzekł:

– Łaskawa pani, toć to niemożliwe. Żywię rodzinę z pracy moich rąk i ledwo na prostą strawę starcza, a na przednówku to i bywa, że głodem przymieramy. Jakże zapłacę za szkołę?

– Nie twoja w tym głowa. Ty rób swoje, a ja o wszystko zadbam.

Mijały lata. Chłopu, dziwnym sposobem, tak się powodziło, że mógł posłać syna do szkół. Antek uczył się pilnie i należał do grona najlepszych uczniów. Czasem nawet kpili z niego koledzy, bo stronił od zabaw, bójek i młodzieńczych figli.

Zaraz po złożeniu przez niego egzaminu doktorskiego, ukazała mu się kuma i rzekła:

– Lecz tylko tych, przy łożu których ujrzyś mnie w nogach. To znak, że ten jeszcze nie umrze. Jeśli stanę u wezgłowia, próżne twe starania. On już w mej mocy.

Zdumiały i zaniepokoiły Antka słowa chrzestnej matki. Zastanawiał się, kim ona tak naprawdę jest. Ojciec coś tam wspominał o tajemniczych okolicznościach jego chrztu, ale on nie słuchał tego uważnie, a może brał za naiwne bajanie.

Zaczął pracować i szybko zyskał wielką sławę. Wzywano go nawet na dwory książęce i królewskie. Ceniono za wiedzę i intuicję. Ludziom się zdawało, że czyni cuda. Tymczasem on korzystał nie tylko z nauk wyniesionych ze szkół, ale przede wszystkim z pomocy tajemniczej chrzestnej. Już wiedział, kim jest. Panią ludzkiego losu. Z początku dziwną zdawała mu się jej obecność, a nawet trochę się jej bał. Z biegiem lat tak się do niej przyzwyczaił, że traktował jako nieodłączną towarzyszkę swej pracy.

Raz poproszono go do chorego syna bogatego księcia. Obiecano ogromne sumy za wyleczenie dziecka. Jednak Antek zobaczył blade lico i nieruchomy wzrok swojej towarzyszki, stojącej u wezgłowia książęcego łóża. Pamiętał, że kuma stojąca w tym miejscu, oznacza śmierć chorego, więc odmówił leczenia. Wtedy podwojono nagrodę. Lekarz jednak był nieugięty.

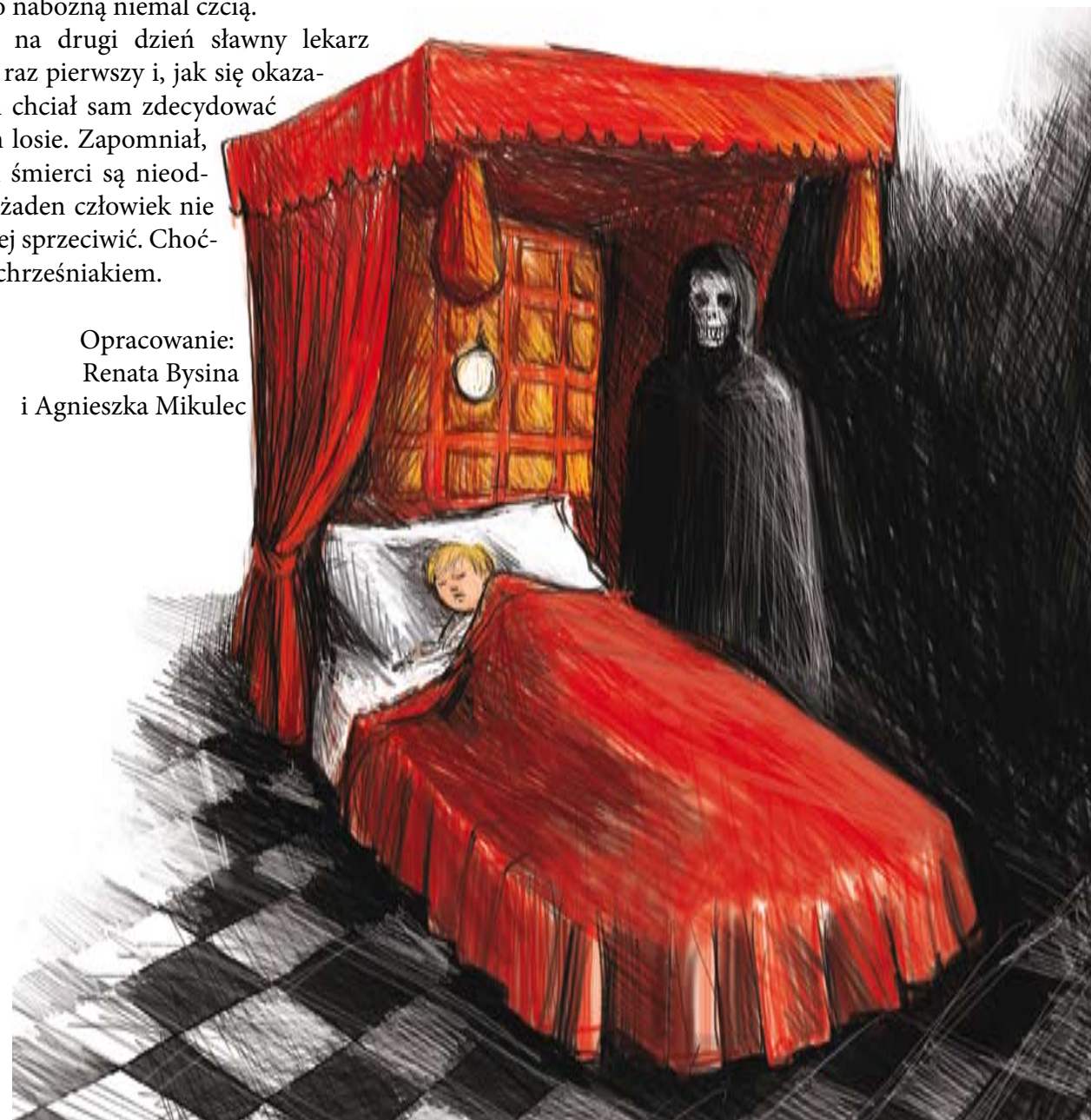
Dopiero gdy matka dziecka na klęczkach błagała o ratunek, wierząc w moc medyka, jeszcze raz poszedł do komnaty. Zdjęty litością na widok dziecięcia rozpalonego gorączką, oblanego kroplami potu, nieprzytomnie wijącego się w pościeli, postanowił pomóc.

Widział, że pani wbija w niego lodowate spojrzenie, ale żał mu się zrobiło cierpiącego straszliwie chłopca. Nakazał więc sługom obrócić łóżko tak, by śmierć znalazła się w jego nogach.

Młody książę wyzdrowiał. Wszystkich ogarnęła ogromna radość. Uściskom i pocałunkom nie było końca. Chciano, aby Antek został nadwornym medykiem. Obdarowano go bogactwem i otoczono nabożną niemal czcią.

Jednak na drugi dzień sławny lekarz zmarł. Po raz pierwszy i, jak się okazało, ostatni chciał sam zdecydować o ludzkim losie. Zapomniał, że wyroki śmierci są nieodwołalne i żaden człowiek nie może się jej sprzeciwić. Choćby był jej chrześniakiem.

Opracowanie:
Renata Bysina
i Agnieszka Mikulec





Strzygoniowe zasadzki

W przydrożnej karczmie w Rzozowie przy długich ławach siedzą gospodarze, popijając cienkie piwo. Rozprawiają o minionym dniu, ucieczce młynarzowego parobka z córką kowala, cenach zboża. W kącie pod oknem kupcy, zmęczeni długimi targami, narzekają na nowo wprowadzony podatek. Ubrany w poplamiony fartuch Żyd krząta się koło lady, nucąc chasydzkie melodie.

Nagle drzwi otwierają się z impetem. Do środka wpada pobladła i przerażona kobieta, właścicielka pobliskiego majątku.

– Ludzie! Czarta widziałam!

– Co takiego? Gdzie? Gadajcie! – przekrzykują jeden przez drugiego.

– Dajcie mi najpierw gorzałki! Inaczej nic nie powiem! – mówi zdyszana.

Robią jej miejsce koło siebie. Podają wódkę. Kupcy przerywają dysputę i przybliżają się do kobiety. Ta, wypwszy jednym haustem, zaczyna mówić:

– Jadę ja sobie spokojnie traktem przez wieś. Nagle widzę – krajem drogi ktoś jedzie. Przyglądam ja ci się, patrzę i oczom nie wierzę! Biała postać na koniu wiezie przed sobą jakby nieboszczyka! I to bez głowy! Błade ciało zwisa bezwładnie! Piersi okrutnie podrapane.

Krzyknęłam „Jezus, Maryja!”. Wtedy straszidło łypnęło na mnie oczami. O Boże, jak sobie przypomnę! Były wylupiane, do sowych ślepiów podobne. Jarzące się piekielnie to na żółto, to na czerwono. Do tego mokre, oblepione trawą włosy i sina twarz!

– I co dalej?

– Nic dalej. Krzyknęłam na woźnicę, aż podskoczył na koźle. Od tego krzyku tak pognął konie, że dopiero tu się zatrzymaliśmy.

– Ciekawe, co to było?

– To musiał być strygoń – zawyrokował najstarszy z gromady. – I widać temu biedakowi z oderwaną głową nie udało się go pokonać.

– A to da się z takim wygrać?

– Nie inaczej. A dyć pamiętacie, co się zdarzyło pięć років temu?

Nie wszyscy jednak pamiętali, więc starzec zaczął opowiadać.

– Powiadano w Jaśkowicach, jak to grabarzowi strygoń ukazał się na cmentarzu. Wyszedł z grobu, zdjął śmiertelną koszulę i udał się w stronę wsi. Wtedy grabarz pognął w te pędy do plebana. Ten naradził się z organistą i nakazał grabarzowi iść w nocy na cmentarz, wziąć koszulę strygonia i uciec z nią na dzwonnice. Grabarzowi ciarki przeszły po plecach, ale słowo dobrodzieja święte.

Kiedy strygoń wrócił o północy na cmentarz, nie znalazł koszuli. Pobiegł za grabarzem na dzwonnice i zawołał:

– Oddajesz mi moją koszulę?!

Odważny grabarz dziarsko krzyknął:

– Nie oddam!

Rozsierdzony strygoń zaczął wylazić po schodach, a wtedy kur zapiał. Grabarz pociągnął za linę, dzwon wydał donośny dźwięk i straszidło spadło z hukiem na ziemię. Zanim grabarz zszedł z dzwonnicy, stwór zamienił się w smolistą maź, która szybko wyparowała.

– A jak poznać, czy to zmora, strygoń, czy może boginka? – zapytała zaciekawiona pani.

– Starzy ludzie powiadają, że strygoniem może być ten, kto był nim za życia. Po śmierci ma różową gębę, otwarte oczy, ciepłą skórę i wyprężone nogi. Gadają też, że dziecko, co ma być strygoniem, rodzi się z przednimi zębami. Trza mu więc dać dwa imiona, bo ma dwa duchy.

– A jest na takiego sposób?

– Mówią, że po śmierci trza mu podciąć nogi pod kolanem, ręce w łokciu i wyrwać język, żeby strygoń nie mógł chodzić, dusić i mówić.

– Po tych opowieściach dziś nie wracam do domu – rzekła zmęczona pani i zapytała:

– Udzielicie mi, gospodarzu, noclegu?

Opracowanie:
Renata Bysina i Agnieszka Mikulec

Skawiński palec

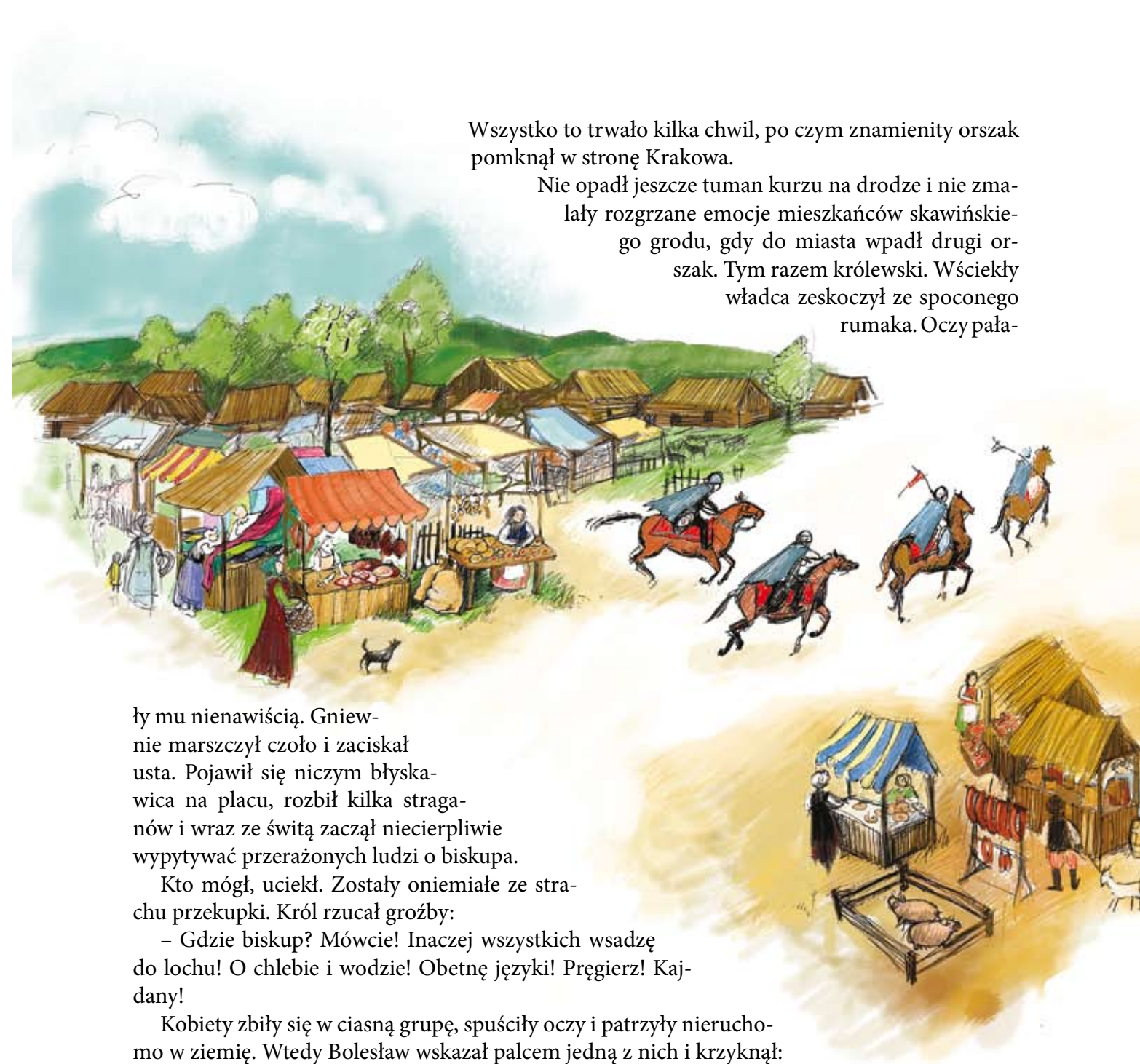
Był zwykły, targowy dzień. W Skawinie jak co czwartek na rynku panował wrzask i harmider. Straganiarki nawoływały do kupna lnianych płócien, glinianych garnków, wyborowego sera, świeżych jaj i wędzonych kielbas. Dzieci biegały, krzycząc i potrącając kupujących. Dziad prośalny jęklwym głosem domagał się jałmużny. Kupiec, zmierzający na południe, pokazywał iskzące się w słońcu bursztyny, na które pożądlwie spoglądały skawińskie mieszczyki, bo nawet je – uznawane w okolicy za bogate – nie było stać na takie kosztowności. Sztukmistrz – jak zwykle z mizernym skutkiem – próbował zebrać trochę grosza, pokazując znane już nawet najmłodszym czary. Niejaką atrakcją był nowo przybyły czarnokudły Cygan, który przy dźwiękach bębenków, piszczałek i blaszanych talerzy wprowadził najprawdziwszego niedźwiedzia. I to jakiego! Umie ci on robić, co mu każą. A to się kłania, a to dźwiga ciężary, a to pocieszenie podryguje w rytm muzyki i klaskania rozradowanej gawiedzi.

Przekupki były dziś jednak mało zainteresowane tymi nowościami. Miały ciekawszy temat do rozmów. Rozprawały o ostatnich wydarzeniach rozgrywających się w Krakowie. Jedna z nich, podparłszy się pod boki, rzekła głośno:

- Oj, srogi ten nasz król, że przezacny biskup musi się przed nim ukrywać!
- No tak. Władcę prawda w oczy kole. Wydaje się mu, że mocarny z niego pan i wszystko mu wolno.
- Powiadali, że skazał biskupa na śmierć za spiskowanie.
- Ponoć poszło o wieś Piotrowin albo Świątniki, a to przecież niezły kawał grosza.
- A ja tam myślę, że Stanisław wypominał królowi rozpustne życie, a tego nikt nie chce słuchać.

Nagle ich uliczną dysputę przerwał tętent koni, bo na dziedziniec kościelny wjechało kilku jeźdźców. Nikt jednak nie mógł ich rozpoznać, gdyż mieli głowy pozakrywane ciemnymi kapturami. W pośpiechu przywiązali konie do haków przy murze i udali się do świątyni. Tłum gapiów z minuty na minutę powiększał się. Wszyscy chcieli zająć dogodne miejsce, by ujrzeć, kim byli tajemniczy goście.

Jakież było zdziwienie zebranych, gdy u stóp ołtarza w asyście plebana uklękł sam biskup krakowski – Stanisław ze Szczepanowa. Skawinianie widzieli, jak dostojnik wpatrywał się w ołtarz i żarliwie modlił. Widać prosił Boga o dobrą radę. Niektórzy twierdzili jeszcze długo potem, że widzieli, jak biskup nerwowo szeptał coś z proboszczem.



Wszystko to trwało kilka chwil, po czym znamienity orszak pomknął w stronę Krakowa.

Nie opadł jeszcze tuman kurzu na drodze i nie ziałały rozgrzane emocje mieszkańców skawińskiego grodu, gdy do miasta wpadł drugi orszak. Tym razem królewski. Wściekły władca zeskoczył ze spoconego rumaka. Oczy pała-

ły mu nienawiścią. Gniewnie marszczył czoło i zaciskał usta. Pojawił się niczym błyskawica na placu, rozbił kilka straganów i wraz ze świtą zaczął niecierpliwie wypytывать przerażonych ludzi o biskupa.

Kto mógł, uciekł. Zostały oniemiałe ze strachu przekupki. Król rzucił groźby:

– Gdzie biskup? Mówcie! Inaczej wszystkich wsadzę do lochu! O chlebie i wodzie! Obetnę języki! Pręgierz! Kajdany!

Kobiety zbiły się w ciasną grupę, spuściły oczy i patrzyły nieruchomo w ziemię. Wtedy Bolesław wskazał palcem jedną z nich i krzyknął:

– Pięćdziesiąt batów dla ciebie i twoich dzieci!

Kobieta zlekła się surowej kary i drżącym palcem wskazała kierunek ucieczki biskupa.

– Tam... – wyszeptała pobladłymi ze strachu wargami.

Wtedy stało się coś nieoczekiwanego. Palec tej kobiety zgiął się w pierwszym przegubie i wskazał drogę do Tyńca.

Tam też pognął rozwścieczony król ze swymi rycerzami. Stamtąd udał się do Krakowa, gdzie na Skałce zabił biskupa, a jego ciało poćwiartował.

Legenda głosi, że palec przekupki nigdy się nie wyprostował, a dzieci mieszkańców Skawiny rodzą się od tej pory z krzywymi paluszkami wskazującymi.

Opracowanie:
Renata Bysina i Agnieszka Mikulec



Świat czarownic

– *A* widzieliście ją, tę czarownicę niby, kumie Mateuszu? – rzekł stary Roch do jeszcze starszego Mateusza, siedząc na przyzbie swego domu i paląc tytoń.

– Widzieć, nie widziałem, ale com się nasłuchał... – odpowiedział wolno Mateusz uznawany powszechnie za szkolonego i znającego się na wielu rzeczach.

– Opowiedzcie przecie, bom strasznie ciekaw.

– W Grabiū na ten przykład powiadają, że wychodzą ci one na świętego Wojciecha przed wschodem słońca, zmieniają się w ropuchy i lubują się w czynieniu zła.

– Ale jak?

– Wielce upodobały sobie przyczajanie się przy krowach na łąkach i odbieranie im mleka.

– To dlatego wieśniaczki, lękając się o swoją gadzinę, nie wypędzają krów na paszę przed Wojciechem.

– Toć to prawda, co mówicie. Opowiadała jeszcze moja matusia, że w Pozowicach w chałupie pod lasem mieszkała czarownica. Ludzie dziwowali się, bo choć miała tylko jedną krowę, zawsze tam były pełne cebrzyki mleka. Raz Jasiek, ten od piekarza, zaczął się cichcem i podpatrzył przez wyrzeżane we wrotach otwory, że czarownica wyciąga ze ściany w stajni kołeczek, podstawi cebrzyk, kręci kurkiem, a mleko leje się strumieniem. Jasiek, rozdziawiwszy gębę, tak się zapatrzył na to dziwowisko, że zbyt mocno oparł się o drzwi, które głośno skrzypnęły. Czarownica odwróciła głowę, a Jaśkowi wydawało się, że rzuca na niego urok, więc czym prędzej stamtąd czmychnął. Wrócił do chałupy na wpół przytomny i długo nic nikomu nie mówił.

– To ci dopiero – zdziwił się Roch. – Powiedzcie co jeszcze, bo to ciekawe.

– Do karczmarza w Ochodzy przyszła raz ropucha. Obawiając się, aby krowom mleka nie zepsuła, wziął buta i bił ją z całych sił po głowie i po nogach aż uciekła. Chwilę potem przyszła do karczmy baba i zaczęła mu wymyślać. Nie wiedział, o co chodzi, ale szybko dopatrzył, że kułała na jedną nogę i miała głowę obwiązaną chustką, spod której wyglądała świeża rana. Po tym poznał, że to była czarownica, którą pobił jako ropuchę.

– Brrr, toż to okropne. Dzieci można taką straszyć.

– W Radziszowie na ten przykład matki przestrzegały swoje pociechy, żeby się nie zapuszczały w zagajnik w Zimnowcu, bo tam mogą je porwać bogienki. Ludzie powiadali, że wieczorami w zaroślach słychać było pluskanie wody w potoku. Tłumaczyli te dziwne odgłosy tym, że właśnie owe bogienki prały tam kijankami swoją bieliznę i bardzo nie lubiły, gdy im ktoś w tym przeszkadzał.

– A jest jakiś sposób, żeby się przed czarownicą bronić? – dopytywał Roch.

– Kto chce czarownicę ukarać, powinien składać patyki od świętej Łucji aż do Bożego Narodzenia. Codziennie po jednym. Na wilią trzeba tymi patykami zapalić w piecu. Zaraz przyleci czarownica, bo ją ten ogień strasznie pali i będzie przepraszać za wyrządzoną krzywdę.

– A są czarownicy?

– Słyszałem, że się zdarzają, ale nie wiem, czy to prawda. Opowiadali w Facimiechu, że jeden chłop jechał ze Skawiny do Zatora, gdy przysiadł się do niego jakiś podróżny. Gdy dojechali przed browar dworski, nieznajomy zapytał, co to za budynek. Dowiedziawszy się, że to gorzelnia, wbił nóż w literkę w napisie nad drzwiami, a w jednej chwili z noża wypłynął cały garniec wybornej wódki. Obaj popili dobrze, więc nie wiadomo, ile w tej historii prawdy...

– A nie zmyślacie wy trochę, kumie Mateuszu?

– Ano może i trochę zmyślam, ale skoro wam, kumie Rochu, tak dobrze tego słuchać, to dla czegoż by nie...

Roześmiali się obaj serdecznie i wrócili do leniwego palenia fajeczki.

Opracowanie:
Renata Bysina i Agnieszka Mikulec





Zdarzyło się to w ciepłą, czerwcową noc. Słowiki śpiewały, księżyc jasno oświetlał okolicę, żaby kumkały w stawach i strumykach. Gdzieś tam między obficie tego roku pokrytymi kwieciami i listowiem drzewami błyskały tajemnicze błędne ogniki zwane robaczkami świętojańskimi. Przez niektórych kojarzone z duchami ludzi, którzy chciwi, zaorywali cudzy grunt, a po śmierci latają i tego gruntu szukają lub też z duszami geometrów mierzących pola na szkodę innych.

Było około północy, gdy Franek szedł z karczmy ze Skawiny do domu w Radziszowie. Wracał trochę wcześniej niż zwykle, bo tany jakoś rychlej się skończyły, ale był w dobrym humorze. Znow się przecież potwierdziło, że bez niego nie obejdzie się żadna dobra zabawa w okolicy. Takim był wybornym grajkiem.

Trochę mu jeszcze parowało z głowy, wygrywał więc sobie i wyśpiewywał przeróżne piosenki: i te smutne, i te wesołe, i te poważne, i te nieco swawolne.

Szedł właśnie wzdłuż Kamionnej, miejsca osławionego legendami o strasznych zjawach, strzygach, południcach, zmorach i boginkach, dla obrony przed którymi ludzie postawili tu nawet krzyż.

Jednak on się nie bał. Czego zresztą miał się bać? Był młody, silny, pewny siebie. Poza tym los się do niego uśmiechał. Zyskiwał sławę, dziewczyny się w nim kochały. Brakowało mu tylko bogactwa...

Ale nic to. Teraz przecież rzeka mu wesoło szemrała, a las szeptał tajemnicze słowa.

Nagle w wodzie ujrzał postać mężczyzny w czerwonej czapce. W miesięcznym świetle widać go było doskonale. Miał kruczoczarne, postrzępione włosy wystające spod czapki. Frankowi się zdawało, że patrzy na niego smutno i dziwnie tajemniczo. Zwabiony widokiem kosztownych świecidełek połyskujących w rękach postaci, ruszył w jej stronę.

Kilkakrotnie potknął się o kamienie i konary wystające ze stromego brzegu, a gdy wszedł do rzeki, nawet nie zauważył, że coraz głębiej zanurza się w wodzie. Urzeczony widokiem szedł i szedł. Bez woli, bez myśli. Był już po szyję w bystrym nurcie, gdy spostrzegł zieloną postać ociekającą wodą i oplataną wodorostami.

Przeklęty topielec, co panem był tej rzeki i uwziął się na Frankową zgubę! Patrzcie! Wiedział, psia wiara, czym skusić biednego grajka.

– Zachciało się bogactwa – zahuczał głos okropny zmieszany z diabelskim śmiechem.

Frankowi włosy na głowie się zjeżyły i poczuł nagle, że mu gruntu nie staje pod nogami, a za szyję łapią go lodowato zimne ręce.

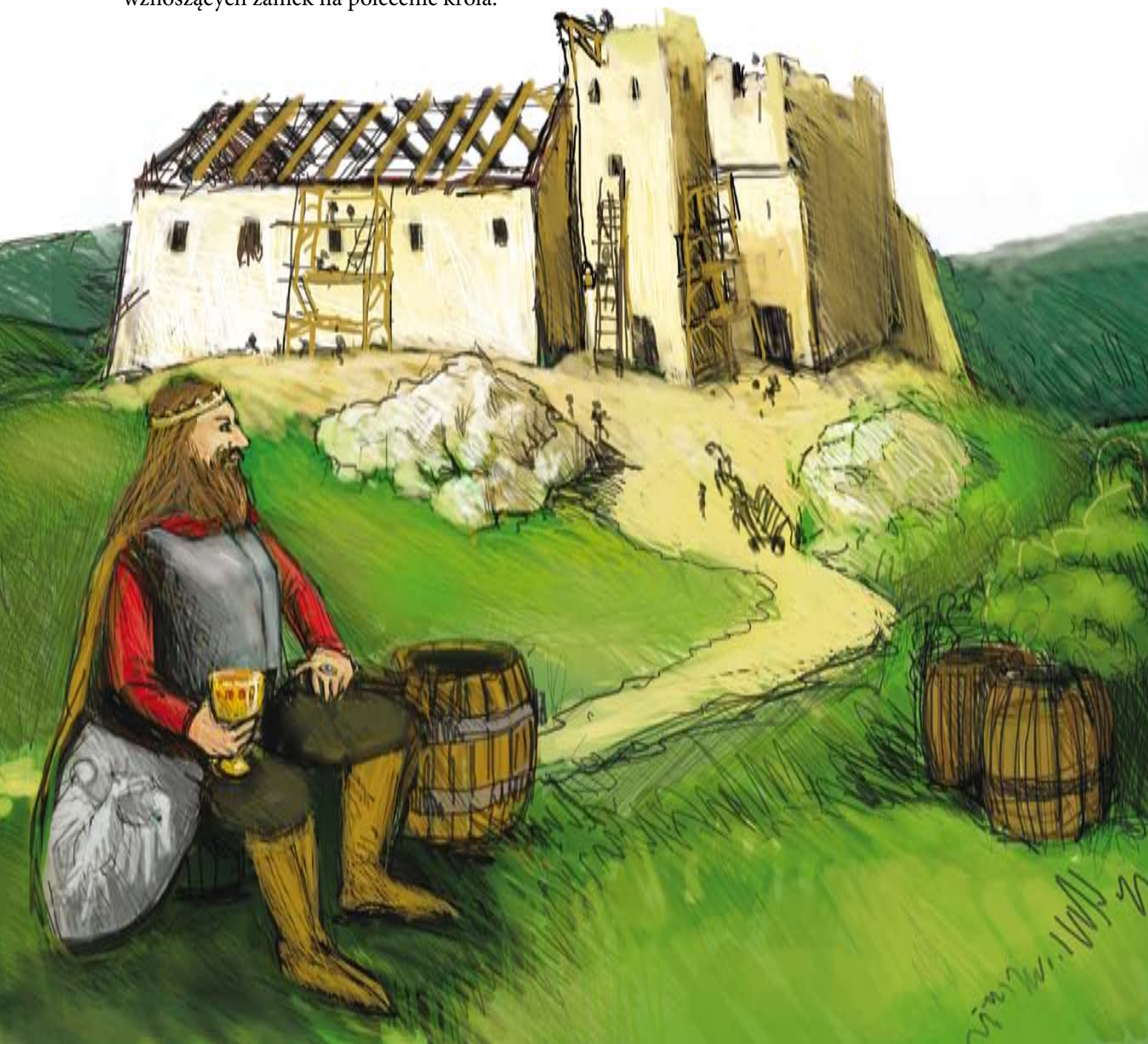
Próżno szamotał się nieszczęsny. Próżno wołał pomocy... Stłumiony, drżący dźwięk niósł się po wodzie daleko, daleko...

Nazajutrz ludzie, idący rankiem w pole, znaleźli Franka grajka nieżywego. Jego ciało było sine, jakby uduszone...

Opracowanie:
Renata Bysina i Agnieszka Mikulec

O winie i Skawinie

Rozaiczne, ale prawdziwe pochodzenie nazwy naszego miasta wiąże się z przepływającą przez nie rzeczką, która długo nosiła imię właśnie Skawina, zanim nazwę tę zdrobniono na Skawinka. Od czegoż jednak legendy, które nawet onomastykę potrafią opromienić blaskiem fantazji? Według takiego właśnie podania Skawina zawdzięcza swe miano... przygodzie murarzy, wznoszących zamek na polecenie króla.



Pewnego gorącego dnia grupa robotników pracowicie budowała na wapiennym wzgórzu zamczysko. Około południa, gdy upał stał się nie do zniesienia, majster zarządził przerwę. Znalazła się baryłeczka chłodnego, czerwonego wina, którym utrudzeni murarze raczyli się w cieniu drzew, gdy nagle usłyszano tętent na krakowskim gościńcu. To nie mógł być kto inny, tylko król. Wiadomo było, że osobiście doglądał wielu budów. Porwali się tedy robotnicy na równe nogi, prędko zatkali beczkę czopem, nie sprawdzając nawet, czy zrobili to dokładnie, i włożyli do skalnej niszy, by ukryć ją przed królewskim okiem. Gdy Kazimierz wjechał na polanę, praca była w toku. Z zadowoleniem patrzył władca na rosnące w oczach mury, kazał dać budowniczym po dukacie i już miał odjeżdżać, gdy zobaczył ciekawą, czerwoną stróżkę, spływającą po białej, wapiennej skale. Zdrętwiał na myśl, że we wgłębieniu skały może leżeć jakiś poraniony, może umierający człowiek. Wziął na palec parę kropel cieczy, powąchał i rozpromienił się. Zapach ten nie był mu przecież obcy, nie była to krew.

– Widzę, że nie tylko zamek tu będzie, ale i skap wina! – powiedział.

No i od tego „skap wina” miała się wziąć nazwa Skawina. Na dobrą sprawę zanik „p” można wytłumaczyć uproszczeniem grupy spółgłoskowej. Szkoda nawet, że ta barwna opowieść nie ma nic wspólnego z prawdą!

Tekst pochodzi z monografii
„Skawina – zarys dziejów miasta”
pod red. Romana Świątka



O niebieskim wędrowaniu

Deszcz padał od kilku dni. Drogi w Polance rozmiękły od nadmiaru wody. Robiło się coraz chłodniej. Słońce zaszło i nastała noc, żadnym nierozjaśnioną światłem. Do ubogiej chaty na krańcu wsi ktoś zapukał. Gospodarz Szymon zdziwił się, kto wędruje w taką pogodę, jednak otworzył drzwi. Do izby wszedł mokry i zabłocony starzec w ubogim odzieniu, z kijem w ręku i płóciennym workiem na plecach.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – przywitał się.
- Na wieki wieków – odpowiedział gospodarz.
- Dobrzy ludzie, dajcie strudzonemu wędrowcy kawałek chleba i kubek wody.

Gospodarz, szanując święte w Polsce prawo gościnności, nakazał żonie przynieść jadło. Ta, nie mając nic więcej, postawiła na stole talerz żuru i dwie ugotowane rzepy. Po skromnej wieczerzy gospodarz, spojrzawszy przez okno na pluchę i ziąb, rzekł do wędrowca:

– Juźci, ostańcie. Na polu ciemno i mokro. Wygodnie wam tu może nie będzie, bo chata mała, ale lepsze to niż włóczęga po nocy.

Podróżnemu, widać, spieszyło się bardzo, bo odparł:

- Wiem, żeś z serca mnie przyjął, mój człeku miłosierny. Bóg ci zapłaci za to. Chciałbym ci jakoś wynagrodzić, ale nie wiem jak.
- Gość w dom, Bóg w dom. Zapłaty nie trzeba – odparł chłop.
- Tedy posłuchaj mnie uważnie. Jutro pojawi się przed twoją chałupą koń. Nie bój się. Siądź na niego, a zawiezie cię w dobre miejsce.

Na drugi dzień chłop, siedząc na pogródce, zobaczył cudne zjawisko. Stał przed nim piękny, biały koń o błyszczącej sierści, długim ogonie i roziskrzonych oczach. Rozdął ogniste chrapy, potrzaskał lśniącą grzywą i zarżał donośnie. Chłopa wprowadziły w zdumienie olbrzymie złociste skrzydła wyrastające z boków ogiera.

Przełękł się nieco, ale przeżegnawszy się, dosiadł rumaka i pomknęli w nieznane. Galopowali tak szybko, że w ciągu minuty sto mil przebyli.

Nagle znaleźli się na wielkim placu. Rozejrzawszy się, Szymon dostrzegł ogromną żelazną bramę, która rozwarła się przed nimi. Tam poniósł go rumak i tam zobaczył niezwykle dziwy.

Najpierw ujrzał babę wplecioną w płot. Jej ręce i nogi poprzetykane były rosnącą wierzbiną, która boleśnie wykrzywiała członki w różne strony.

– Zmiłuj się nade mną – jęknęła udręczona.

Szymon, wyszukawszy w kieszeni kozik, już chciał zsiść z konia, by ulżyć cierpieniu baby, jednak koń ruszył z kopyta, nie pozwalając mu okazać litości.

Dalej ujrzał Szymon chłopą leżącego na ziemi, przywalonego potężnym dębem, który jęczał:

– Pomocy!

I znów Szymon chciał zsiść z konia i podnieść straszny ciężar, ale zwierzę znowu na to nie pozwoliło. Pojechali dalej.

A dalej, z ocembrowanej studni dobiegł go przeraźliwy głos, więc zajął do środka. Przeraził go widok topiącej się baby, która rozpaczliwie usiłowała zaczerpnąć tchu, a rękami gwałtownie uderzała o wodę, chcąc utrzymać się na powierzchni.

– Ra-tuuuj!

Serce Szymona zadrżało ze współczucia, ale koń pocwałował dalej.

Dojechali do rozłożystej lipy. Do jej szerokiego pnia przywiązany był urodziwy młodzieniec. Szymon zdziwił się niepomniernie, ujrawszy wśród listowia wiszące wędzone kiełbasy, pachnące bochenki chleba, kapiące tłuszczem kawałki boczku i słoniny oraz wspaniałe, złociste kołaczki.

Chłopcu spod drzewa aż oczy wychodziły na wierzch, gdy spoglądał na te smakołyki.

– Jestem tak strasznie głodny! – ledwo wyjęczał. – Objadam nawet korę z drzewa, bo mi kiszki marsza grają. Urywaj mi, proszę, choć mały kawałeczek z tego, co wisi nade mną.

Szymon, po raz kolejny chcąc ulżyć cierpiącemu, już wyciągał rękę, by dosięgnąć gałęzi, ale koń zerwał się do galopu.

Wtedy znaleźli się na łące. Była porośnięta soczystą, miękką trawą i mieniącymi się wszystkimi barwami tęczy kwiatami. W powietrzu unosił się zapach tysiąca ziół, a do uszu dobiegała melodia brzęczących pszczoł uwijających się przy zbieraniu nektaru.

Od razu spostrzegł pasące się tam owce. Niektóre z nich były przeraźliwie chude. Ich boki zapadały się. Powłóczyły nogami, smutno pobekując. Inne zaś miały lśniące, białe runa, żwawo podskakiwały i wesoło beczwały. Wśród nich Szymon zobaczył postać przepięknej pani. Miała pełną wdzięku, uśmiechniętą twarz i niebieskie oczy, tchnące nieopisaną słodyczą. Ubrana była w białą, powłóczystą suknię, przeplataną świetlanymi nitkami. Nucila piękną melodię i zrywała polne kwiaty.

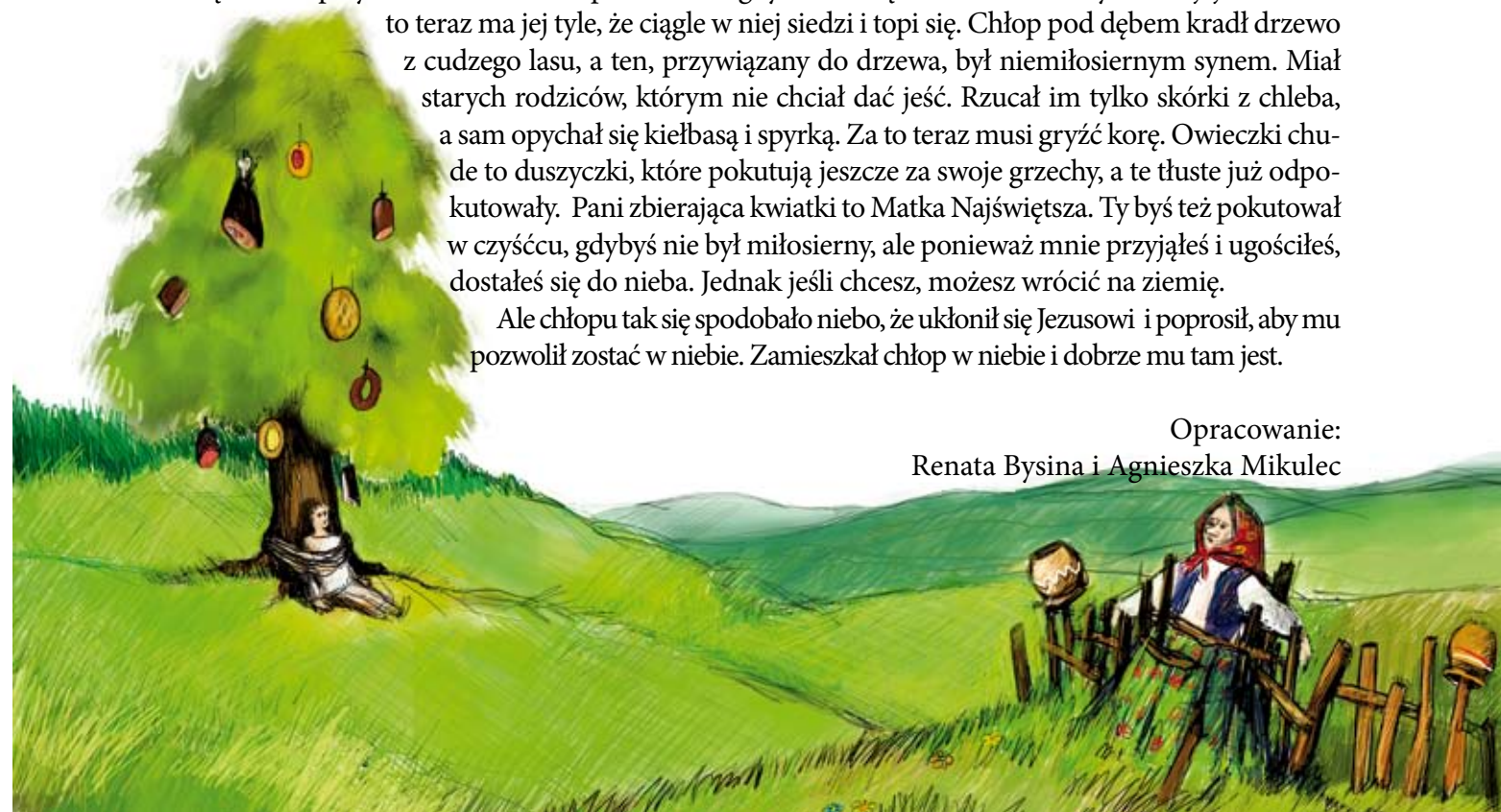
W pewnym momencie chłop odwrócił się i ujrzał staruszkę, który był u niego w gościnie. Jednak jakże inaczej teraz wyglądał! Siedział na wysokim tronie, odziany w lśniącą szatę. Otaczała go złocista poświata.

Podjechali bliżej i wtedy koń zatrzepotał skrzydłami i zmienił się w białego anioła. Staruszek zaś powiedział:

– Widzisz, Szymonie, przybyłeś do nieba, a ja jestem Pan Jezus. Przejechałeś przez czyściec, abyś widział, jakie męki muszą cierpieć grzesznicy i ludzie niemiłosierni. Ta baba w płocie za życia kradła sąsiadowi patyki. Ta w studni nie pozwalała nigdy swoim sąsiadom brać wody ze swojej studni, za

to teraz ma jej tyle, że ciągle w niej siedzi i topi się. Chłop pod dębem kradł drzewo z cudzego lasu, a ten, przywiązany do drzewa, był niemiłosiernym synem. Miał starych rodziców, którym nie chciał dać jeść. Rzucał im tylko skórki z chleba, a sam opychał się kiełbasą i spyrką. Za to teraz musi gryźć korę. Owieczki chude to duszyczki, które pokutują jeszcze za swoje grzechy, a te tłuste już odpokutowały. Pani zbierająca kwiatki to Matka Najświętsza. Ty byś też pokutował w czyścicu, gdybyś nie był miłosierny, ale ponieważ mnie przyjąłeś i ugościłeś, dostałeś się do nieba. Jednak jeśli chcesz, możesz wrócić na ziemię.

Ale chłopu tak się spodobało niebo, że uklonił się Jezusowi i poprosił, aby mu pozwolił zostać w niebie. Zamieszkał chłop w niebie i dobrze mu tam jest.



Opracowanie:
Renata Bysina i Agnieszka Mikulec



Królewskie słowo

Był koniec lipca roku pańskiego 1683. Ważyły się losy chrześcijańskiej Europy. Węzyr turecki Kara Mustafa już cieszył się na zdobycie Wiednia i krzewienie islamu na starym kontynencie. Papież słał rozpaczliwe listy do możnych tego świata, by wreszcie powstrzymać muzułmańską falę. Potężny wówczas król Jan III Sobieski, osławiony licznymi zwycięstwami, zgodził się objąć dowództwo nad europejską armią i podjąć walkę z groźnym przeciwnikiem, któremu jak dotąd wszyscy ulegali.

Zebrawszy polskie oddziały, wyruszył ze Skawiny w zwycięski marsz pod Wiedeń.

Chcąc prosić o pomoc niebios, zatrzymał się z wojskiem w Sosnowicach. Tu, w małym kościółku, władca pokłonił się przed słynącym cudami obrazem Najświętszej Panienki. Król wiedząc też, że wojownicy przybyli na jego wezwanie ze wszystkich stron Rzeczypospolitej, chciał dać wytchnienie utrudzonym ludziom, a dowódców zgromadzić na naradę, dlatego tutaj właśnie ogłosił postój.

Ogromna armia rozłożyła się wokół naprędce rozpalonych ognisk. Jedni gotowali strawę, inni rozprawiali żywo o mającej nadejść bitwie i opowiadali mrozące krew w żyłach historie o barbarzyństwie Turków, jeszcze inni zabawiali się wesoło, grając w kości i karty. Rychłe starcie zaprzętało umysły i rozpałało wyobraźnię najmłodszych wojaków. Wiele konnych, wiele pieszych będzie? Jacy rycerze wystąpią?

Głośnie rozmowy przerwał głos trąbki dającej sygnał na spoczynek.

– O dlaboga! Ino patrzeć, jak kury zapieją! Spać, mości panowie, spać! – ozwały się głosy znających trudy wojaczki starszych.

Wczesnym rankiem następnego dnia gotowa do drogi armia czekała na swego króla. Jan III Sobieski wyszedł z namiotu i wskoczył na siodło. Potężna postać dumnego jeźdźcy zrosła się z kształtem wybornego rumaka w nierozdzielalną i doskonale piękną, szczególnie dla żołnierskich oczu, bryłę.

Wjechał na pagórek, gestem ręki uciszył ogromny tłum i donośnym głosem krzyknął:

– Bóg miłuje czyn! Czynów chce! Czyn jeno świadczy u Niego o miłości, wierności i wierze! Zatem, w imię Boga, ruszajmy! Ale wprzód niech każdy przepasany będzie powrośłem słomianym, a to dla odróżnienia od mieszkańców Krymu, żeby Niemcy naszych nie strzelali zamiast Turków, którzy takowego stroju zażywają jak i my. Na koniec, wskazując ręką horyzont, dodał:

– Waćpanowie, WIELKIE DROGI przed nami! A teraz na konie i naprzód!

Ruchliwy, wielotysięczny tłum wypełnił trakty i drogi. Wozy taborowe ledwie nadążały za oddziałami. Przed oczami zdziwionych wieśniaków stojących przy gościńcach, przelewała się ciżba przeogromna, mieniąca się wielością barw, połyskująca bronią, głośnie i krocząca z nadzieją na zwycięstwo z Turkami.

Legenda głosi, że kiedy król Sobieski dotarł pod Wiedeń, sam Pan Bóg dopomógł mu w zwycięstwie, żeby mógł pobić Turków, którzy z całą zjadłością rzucili się na wojsko polskie i europejskie. Swoją pomoc ofiarowała również sama Najświętsza Panienka. Spuściła na Turków straszliwy grad kamienny, który ich raził okropnie. Polacy, widząc pomoc z nieba, nabrali otuchy i z podwojoną siłą uderzyli na wroga. Jednak taka była moc Turków, że nie wystarczyło dnia, żeby ich pobić zupełnie. Wtedy Jan Sobieski wznosił ręce do góry, spojrzał w niebo i zawołał:

– Boże dobry, daj jeszcze choć godzinę dnia.

Zachodzące już słońce podniosło się znów do góry i więcej niż godzinę jasno świeciło. Skorzystal z tego Polacy i tak bili Turków, że tysiące ich zginęło, a reszta poszła w rozsypkę. Za to też król Sobieski w każdym mijanym od samego Wiednia aż do Krakowa kościele dziękował Bogu i Matce Najświętszej.

Opracowanie:
Renata Bysina i Agnieszka Mikulec

Dar rzeki

Zima przeciągała się ponad miarę. Kiedy wreszcie nadeszła wiosna, była pochmurna i dżdżysta. Ludzie z obawą o swoją przyszłość spoglądali w zasnute chmurami niebo, z którego raz po raz lały się strugi wody. Ozimina wygniła, a jarego nie mogli zasiać z powodu deszczu i błota.

Zaraz po Zielonych Świątkach deszcz nasilił się. Słońce nie było w stanie przedrzeć się przez ołowiane chmury. Poziom Cedronu niepokojąco się podnosił, aż wreszcie rzeka wystąpiła z brzegów. Zalała nadbrzeżne łąki, ale nie wzbudziło to w ludziach paniki. Przyzwyczaili się do jej kaprysów. Kiedy jednak nadal nie przestawało padać, stopniowo przenosili krowy i owce na pastwiska położone wyżej.

Któregoś dnia woda wylała się na gościniec, odcinając tym samym mieszkańców od drogi dojazdowej. Tłumy ludzi gromadziły się na jej brzegu, bacznie obserwując, czy wzbiera. Za namową sołtysa i starszych czuwania te przeciągnęły się też na noc. Pleban odprawił już trzy msze w intencji pogody, ale niebo zdawało się być głuche na ludzkie prośby i modlitwy.

Jednego poranka przez wieś przetoczył się rozpaczliwy krzyk:

– Topielec! Ludziska na rany Boga! Topielec!

Głos dobiegał z pobliza kościoła i wkrótce zgromadził się tam pokaźny tłumek. W brzasku dnia spoglądali na Stacha, który palcem pokazywał ciemny kształt, który utkwiał w gałęziach wierzby.

– Może jeszcze dycha! – rozległy się głosy.

– Trza człekowi pomóc! Nie po chrześcijańsku zostawić go na pastwę losu!

Jakoż zaraz znalazło się czterech śmiałków. Chwycili się za ręce i weszli do wody, która w tym miejscu sięgała im pasa. Zaraz też zbliżyli się do topielca. Józek chwycił go w pól i pociągnął do brzegu.

– Żyw? Dycha jeszcze? – rozlegały się krzyki z brzegu.

– Trup już. Nie dycha i sztywny.

Wyciągnięto ciało na brzeg. Nagle rozległo się siarczyste przekleństwo:

– Jasna cholera. To nie człowiek, to świętek!

Przy bliższym przyjrzeniu się rzeczywiście dostrzeżono sztuczne rysy twarzy i namalowany strój. Chcieli go ze złości wrzucić z powrotem do rzeki, ale ksiądz, który natenczas nadszedł, zawyrokował, że to święty Jan Nepomucen i nie godzi się wrzucać figury świętego do rzeki. Odciągnięto ją więc na brzeg i pozostawiono swojemu losowi.

Powoli jaśniało, a słońce przebiło się przez chmury. Widok ten wlał w ludzi szczyptę optymizmu. Niektórzy, ci co wbijali patyki, zauważyli, że rzeka opada. Zrobiło się też jakby ciepłej. Powiał wiatr, który w ciągu paru dni osuszył ziemię. Ludzie zapomnieli o historii, jaka im się przytrafiła, ale pleban pamiętał. Zebrał pewnego dnia paru chłopów, którzy zbudowali mały domek na miejscu, gdzie złożono figurę.

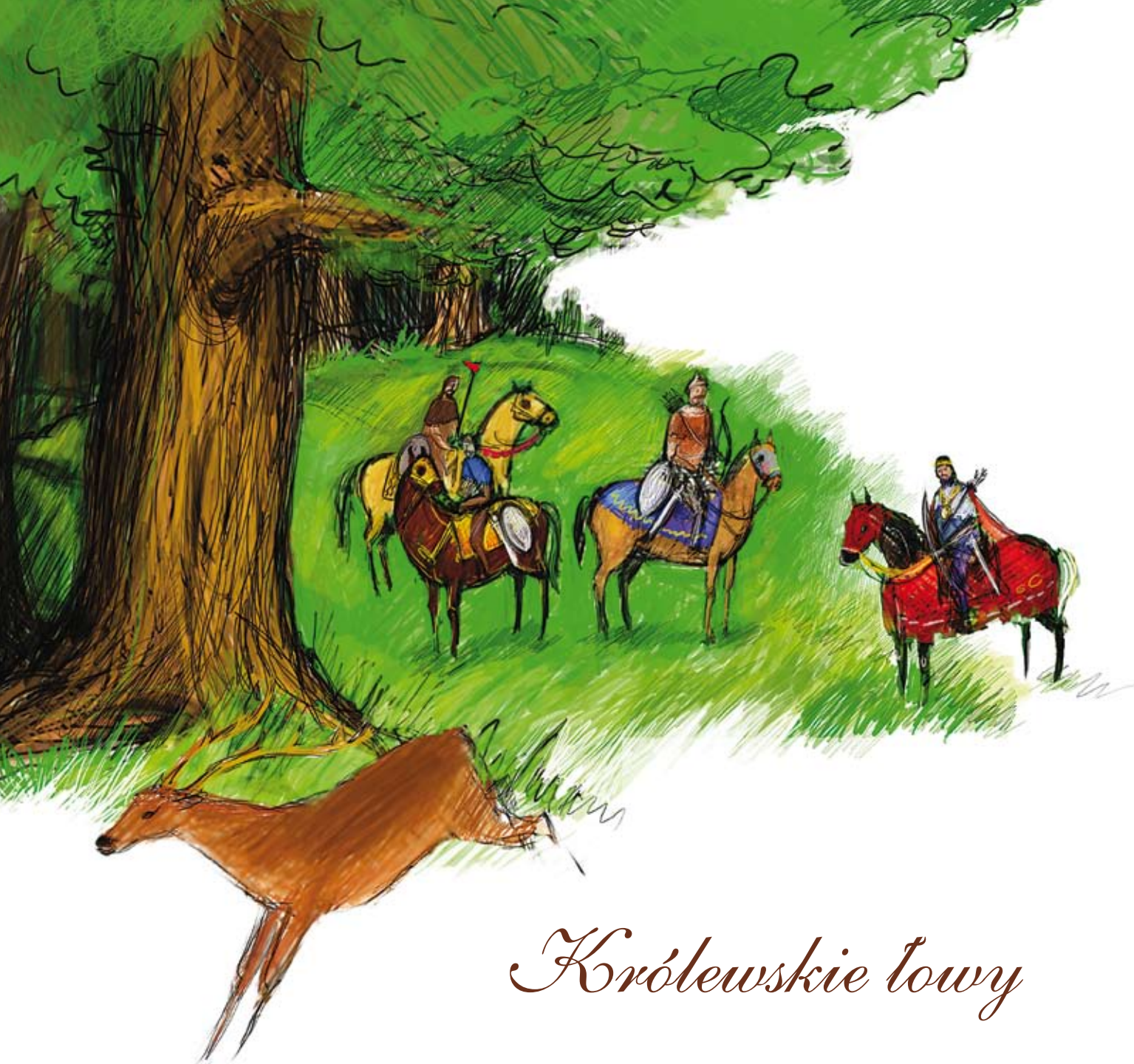
Niewielu już dziś pamięta tę opowieść, ale figura Jana Nepomucena stojąca na poboczu drogi ciągle przypomina odległe dzieje naszych pradziadów. Święty Jan był świadkiem wielu powodzi. Także tych ostatnich.

Opracowanie:

Witold Grabiec

Powyższa legenda znajduje się w monografii
„Wola Radziszowska – moja rodzinna wieś”





Królewskie łowy

Było to wiele lat temu, gdy tereny, gdzie dzisiaj znajduje się Wola Radziszowska, porastał prastary bór, a ogromne, rozłożyste dęby ugięły się pod uderzeniami wiatru. Po puszczy chodziły stada żubrów, niedźwiedzi, dzików i wilków. W gałęziach drzew czały się drapieżne jastrzębie i krogulce. Nocami wyły puszczyki. Po konarach prawie bezszelestnie przemieszczały się zwinne rysie. Wszystkie te dźwięki oznaczały, że las tętnił życiem.

Do odgłosów tych stopniowo dochodziły nowe. Z początku nieśmiałe, z czasem zaczęły echem odbijać się od pobliskich wzgórz. Nad okolicą zapanował odgłos trzasku padających drzew, stukot siekier oraz krzyki i nawoływania ludzkie. Coraz częściej pośród drzew strzelała w górę wąska smułka dymu i leniwie rozpływała się w powietrzu.

To pierwsi osadnicy odpoczywali po całodzienniej, ciężkiej pracy, a ich żony przygotowywały posiłek. Las dawał im dzikie jabłka, orzechy, jagody. Do rzeki po napój przybiegały jelenie i sarny, które łatwo mogli upolować.

Woń pieczonej dziczyzny rozchodziła się po okolicy. Zmęczeni chłopcy spożywali posiłek w cieniu drzew. Rozmawiali o dopiero co rozpoczętym karczowaniu lasu. Praca posuwała się po-

woli, gdyż oprócz prymitywnych siekier i narzędzi, które przynieśli ze sobą albo różnym sposobem sobie zrobili, dysponowali tylko siłą ognia i własnych ramion. Duży już jednak kawałek lasu został wykarczowany i kobiety porządkowały teren pod przyszłe domostwa i uprawy. Dzikich zwierząt się nie bali. Wybrali miejsce w widłach rzeki, a od lasu odgradzili się płotem z gałęzi leszczyny, której było pod dostatkiem.

Nagle sielankę ich drzemki przerwał odległy głos rogu. Jego echo wypełniło całą dolinę, wzbudzając wśród ludzi popłoch i zamieszanie. Obawiali się napadu zbójców, którzy często zapuszczali się w te okolice, bezkarnie mordując i grabiąc osadników. Ludzie, zaniepokojeni odgłosami, pospiesznie wygasili ogniska, zabrali drewniane włócznie i łuki, po czym kilku odważniejszych udało się na zwiady.

Z trudem przedzierali się przez gęsty bór. Gałęzie jeżyn boleśnie raniły ich nagie stopy, lecz żaden z nich nie wydał najcichszego nawet okrzyku bólu. Zbyt wiele bowiem zależało od niepostrzeżonego zbliżenia się do obcych. Już z daleka doszedł do ich uszu gwar rozmów, szczekanie psów i nawoływania ludzi. Ostrożnie podeszli bliżej. Między drzewami dostrzegli liczną grupę konnych, którzy właśnie szykowali się do rozbicia obozu na leśnej polanie. Wśród tej grupy rycerzy wyróżniał się postawny mężczyzna o długich, kruczoczarnych włosach przytrzymywanych złotym pierścieniem. Ubrany był w drogie purpury, a gronostaje spadały z jego ramion aż prawie po końskie pętlce. Wokół niego stali dostojnicy. Od kolorów ich szat i drogocЕННОści aż ćmiło się w oczach. Łowczy przykładł do ust złoty róg i głośnym graniem rozgłaszał szerokiej dolinie i głębokościom boru królewskie przybycie.

Chłopi zrozumieli, że to nie rabusie. Z lękiem i obawą wyszli z lasu na polanę. Kilku ze świty natychmiast podbiegło w ich kierunku, a reszta, uzbrojona w miecze i łuki, otoczyła dostojnika. Wieśniacy upadli na kolana, oddając pokłon. Przywódca zbrojnych nakazał ruchem ręki, aby się zbliżyli. Podeszli z lękiem.

- Kim jesteście? – zapytał jeden z rycerzy.
- My, panie, tutejsi. Las karczujemy. Osadę chcemy zbudować.
- Potrzeba nam naganiaczy. Król Bolesław przybył tu na polowanie. Na tej polanie rozbijamy obóz, a jutro z rana rozpoczynamy łowy.
- Chętnie pomożemy miłoścowi panu. Jutro z rana przyjdziemy tu we dwudziestu chłopów.

Rozpoczęło się polowanie. Król dosiadł konia. Był to ognisty rumak z rzędem kapiącym od złota i drogich kamieni. Polowano na jelenia, więc Bolesław na plecach miał zawieszony kołczan ze strzałami, do siodła przytroczony łuk, a w ręku trzymał dzidę, której ostrze lśniło w promieniach właśnie zachodzącego słońca.

Naganiacze ruszyli w las. Przerażliwy stukot kołków, którymi uderzali w pnie drzew i terkot kołatek przewalały się przez bór i napełniły go niepokojem. Król, otoczony świtą, czekał na zwierzynę na skraju polany. Głos naganiaczy narastał z każdą chwilą. Co pewien czas polanę przebiegał przerażony zając i znikał w zaroślach. Jednak nikt nie zwracał na niego uwagi. Wszyscy czekali na grubego zwierza.

Nagle z lasu wyskoczył piękny rogacz. Wbiegł na polanę i zwiwszy myśliwych, zatrzymał się nie zdecydowany. Król natychmiast pogalopował w jego kierunku. Odległość szybko malała. Jeleń gwałtownie ruszył w stronę zarośli. Zbliżał się ku nim w szybkim tempie. Jeszcze moment, a umknie bezpiecznie w las. Bolesław uniósł się w strzemionach, wygiął do tyłu i uniósł ramię z dzidą. Już w momencie rzutu wiedział, że chybi, że jelen jest zbyt szybki. Dlatego rzucając oszczep, krzyknął:

- Za wartki!
- Rzeczywiście. Oszczep chybił, a jelen bezpiecznie umknął w las. Król zawrócił konia.
- Może innym razem, panie, będziecie mieć więcej szczęścia – rzekł jeden z rycerzy.
- Za wartki – powtórzył zdyszany król. Za wartki był ten jelen. Szkoda. Taka piękna sztuka.

Polowanie jednak trwało nadal. Z lasu co chwila wyskakiwało jakieś zwierzę i padało łupem myśliwych. Co prawda nie udało się upolować ani jednego jelenia, niemniej jednak kilka saren, niemal setka zajęcy i dwa dziki osłodziły królowi gorycz porażki.

Zbliżał się wieczór. Ostatnie promienie zachodzącego słońca z trudem przedzierały się przez konary drzew. Zmęczony król z radością przyjął gościnę chłopów. Kiedy zbliżał się do osady, wyszła mu naprzeciw młoda kobieta. Widząc strudzonego Bolesława, podbiegła ku niemu i poczęstowała maślanką z kobiałki. Zmęczonemu i spragnionemu królowi napój ten wydał się nadzwyczaj smaczny.

– Niech od dzisiaj twoje przezwisko będzie *Maślanka* – rzekł, nasyciwszy pragnienie, władca.

W czasie wieczornego ogniska wśród śmiechów i zabaw król zapomniał o jeleniu. Jednak chłopci siedzący przy sąsiednim ognisku przekazywali sobie opowieść o jeleniu, który był ZA WARTKI i dlatego zdołał umknąć Bolesławowi.

Odtąd jedna z części Woli Radziszowskiej nosi nazwę Zawartki.

Opracowanie:
Witold Grabiec

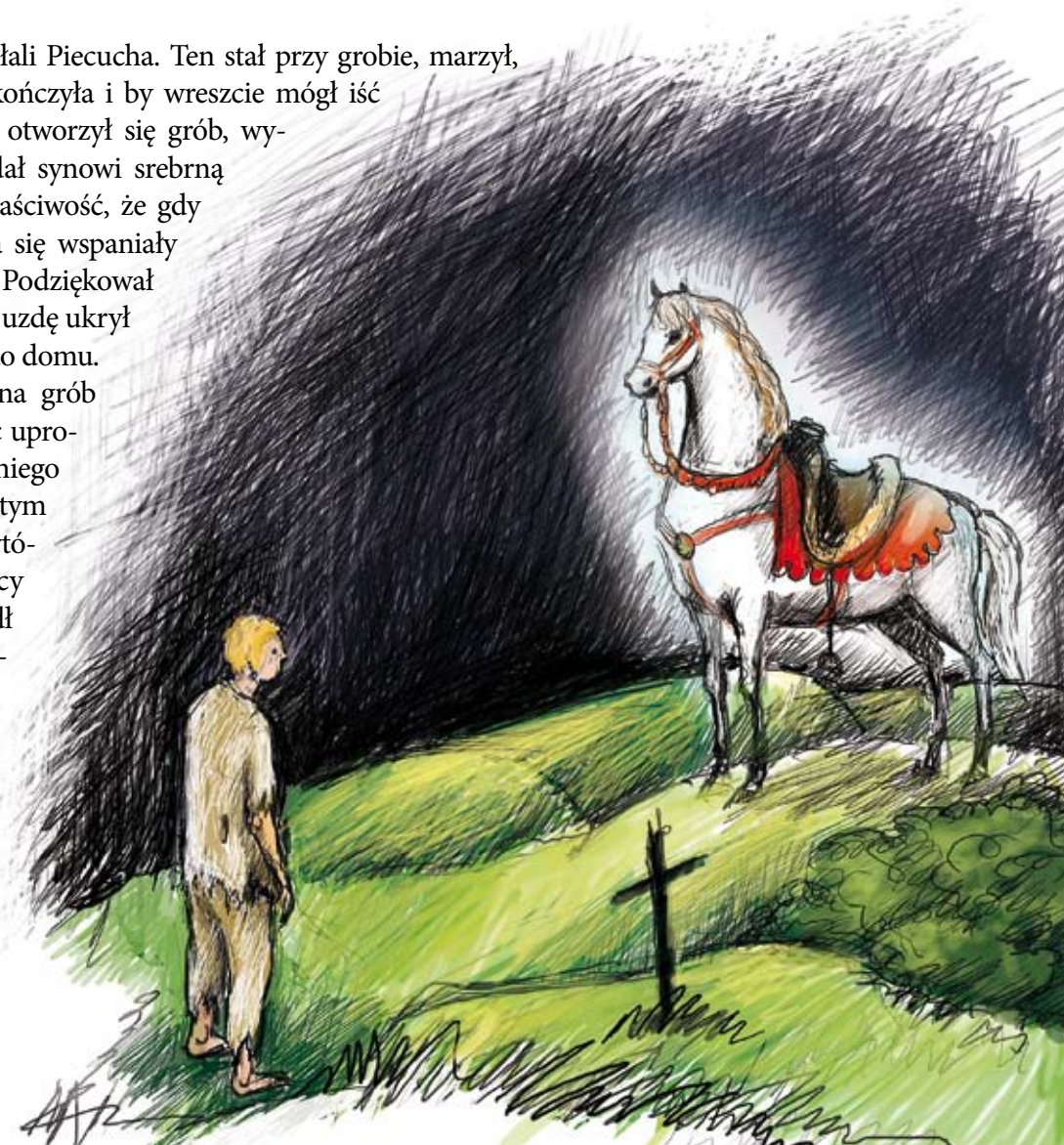
Powyższa legenda znajduje się w monografii
„Wola Radziszowska – moja rodzinna wieś”

Duch ojca

Œewien ojciec w Zelczynie miał trzech synów. Najmłodszego z nich uważano za głupca i niedołęgę, a ponieważ najbardziej na świecie lubił spać na zapiecku, nazywano go Piecuchem. Tuż przed śmiercią ojca synowie obiecali, że spełnią jego życzenie i każdy z nich będzie pilnował grobu przez jedną noc.

Jako pierwszego wysłali Piecucha. Ten stał przy grobie, marzył, żeby już ta warta się skończyła i by wreszcie mógł iść spać. Wtem o północy otworzył się grób, wyszedł z niego ojciec i dał synowi srebrną uzdę, która miała tę właściwość, że gdy nią potrząsnąć, pojawia się wspaniały koń i rycerskie ubranie. Podziękował Piecuch za ten dar ojcu, uzdę ukrył w grobie, a sam wrócił do domu.

Nie chciało się iść na grób średniemu synowi, więc uprosił Piecucha, aby za niego spełnił obowiązek. I tym razem historia się powtórzyła. O dwunastej w nocy otworzył się grób, wyszedł z niego ojciec i dał synowi uzdę. Tym razem złotą, za potrząśnięciem której stawał przed nim piękniejszy jeszcze koń i piękniejsze ubranie. Piecuch, jak poprzednio, schował dar do grobu i odszedł.



Jak można się domyślić, w trzecią noc poszedł Piecuch za najstarszego z braci. Teraz jego własnością stały się uzda jaśniejsza od diamentów, koń i ubranie jaśniejące od brylantów. Zakopał uzdę i mając już odejść, wydobył srebrną i potrząsnął nią. W tej chwili stanął przed nim koń osiodłany i gotowy do jazdy. Gdy wsiadł na niego, ujrzał się w rycerskiej zbroi z szablą u boku. Nie namyślając się wiele, pojechał w świat. Koń służył mu wiernie. Nic nie jadł, nic nie pił i prowadził go do szczęścia. Dzięki temu Piecuch stał się sławy w czasie wojny i pokoju. Ale obrósł w pychę wobec innych rycerzy. A gdy nawet na ukłony nie odpowiadał, wtedy zniknął koń, a on, w nędznym ubraniu, piechotą, ledwie uszedł z życiem przed ścigającymi go sługami obrażonych wojów.

Z trudem dowlókl się do rodzinnej miejscowości. Był głodny i obolały. Swe kroki skierował na grób ojca. Wydobył złotą uzdę, wstrząsnął nią i wtedy stanął przed nim koń jeszcze piękniejszy niż poprzednio. Pojechał na dwór królewski, gdzie jako królewicz z obcych krajów był wspaniale przyjmowany.

Nastała wojna. Piecuch poszedł z królewskim wojskiem i odznaczył się wielką odwagą w walce z nieprzyjacielem. Za to król oddał mu córkę za żonę i uczynił swym następcą. Długo żył szczęśliwie, aż wreszcie zapomniawszy o swoim pochodzeniu, zaczął się źle obchodzić z poddanymi, postępował niesprawiedliwie, a gdy raz nawet uderzył żonę, koń jego zniknął, a on, w nędznych łachmanach, ledwie ujść zdołał przed ścigającymi go psami.

Stary już i znużony, poszarpany przez psy i głodny dowlókl się jeszcze do rodzinnej wioski. Wyjął z grobu ojca trzecią uzdę, a wstrząsnąwszy nią, ujrzał się znowu młodym i jaśniejącym od klejnotów i na tak wspaniałym koniu, jakiego jeszcze nikt nie widział.

Pojechał znów w świat i wyjechał nawet na szklaną górę. Tam opływał we wszystko, o czym tylko człowiek może marzyć, ale gdy z zemsty za doznaną zniewagę zdradził własnych poddanych i wydał ich nieprzyjacielowi, koń wraz z nim zapadł się w ogień piekielny. Ten koń to był duch jego ojca, który nawet po śmierci karał za złe postęпки.

Opracowanie:
Renata Bysina i Agnieszka Mikulec

Biała Pani

Dawnymi czasy w Krzęcinie pobożny lud gromadził się wokół przydrożnej kapliczki postawionej tu na cześć Najświętszej Pani. Przychodził ze swoimi troskami, radościami, prośbami, by całe swe życie ofiarować w ręce Maryi. Słota, śnieg, mróz czy palące słońce nie przeszkadzały wielbić Boga, choć raz po raz jeden czy drugi westchnął, że przydałoby się mieć swoją świątynię.

Czasem przy kapliczce można było zobaczyć razem młode małżeństwo: Stacha i jego piękną żonę Marysię. Minęły już trzy roky, odkąd się pożenili, a w chacie dotąd nie słychać było dziecięcego szczebiotu. A tak za tym tęsknili... Prosili więc gorąco Maryję, by – sama będąc matką – pozwoliła im cieszyć się potomstwem.

Razu pewnego Staszek miał sen. Stanęła przed nim Matka Boska, która rzekła:

– Mój Stachu, wielbij Pana, bo twój pacierz w niebo wzięty. Ale wolą moją jest, byś poszedł do wiernego ludu krzęcińskiego i powiedział, niech zbudują kościół. Gdy na wieżach zabiją dzwony, będziesz kołysał synka.

Kiedy świt oblókł niebo, Staszek zerwał się z łóżka. Nie mówiąc nic żonie, zabrał się za gospodarskie zajęcia. Nie będzie przecie jak baba wierzył w sny! Sen mara, Bóg wiara! Jednak słowa Maryi towarzyszyły jego myślom całutki dzionek.

Gdy chłopci pokończyli roboty w polu – jak co dzień – zebrali się w karczmie. Poszedł tam i Staszek. Gwarno było i wesoło, tylko jemu w duszy dziwna melancholia grała. Bił się z myślami, czy opowiedzieć o śnie, czy jednak włożyć go między bajki i czym prędzej zapomnieć. Postanowił jednak to uczynić. Gospodarze nie chcieli wierzyć.

– Nie gadaj głupot. Pewnie za dużoś gorzałki wypił i śnią ci się teraz niestworzone rzeczy, ha, ha, ha – zaśmiewał się kulawy Roch.

– Zajmij ty się lepiej babą i robotą – dorzucił dowcipny Kaźmirz.

– U nas ci więcej bogobojnych, co by do nich Matka Boska przemówiła, a nie do ciebie – dodał Bolek o kędzierzawych włosach.

– A może coś w tym jest... – zastanawiał się sołtys – sen snem, ale o kościele można by pomyśleć.

Stach nie śmiał się odezwać. Dalszą rozmowę przerwało wejście Maćka, który zaczął opowiadać o tym, jak to młynarzowe konie poszły w szkodę u kowala i jak się oba chłopcy wzięli o to za łby.



Wydawało się, że wszyscy zapomnieli o rozmowie w karczmie, jednak sołtysowi myśl o budowie kościoła nie dawała spokoju. Toż to chwała dla wsi mieć swój przybytek Boży, a i ludziska nie marzliby na mrozie, nie mokli na deszczu i nie musieliby jeździć do kościoła tak daleko. Jednak skąd wziąć materiał? Jak za niego zapłacić? Ale kiedy człowiek czegoś bardzo chce, niebiosy mu sprzyjają. Sołtys się zawiązał i wraz z pomocą ludzi ze wsi materiał zgromadził. Złożyli go na Lamuzach.

Wtedy zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Co ranka kręcinianie znajdowali deski i kamienie pod fundamenty w zupełnie innym miejscu – tam, gdzie dziś stoi kościół. Mimo że co dzień przynosili je z powrotem, znów wracały na poprzednie miejsce. Trwało to kilka dni. W końcu rozsierzdzeni zuchwalstwem jakiegoś żartownisia, postanowili się przyczaić i solidnie go ukarać. Michał, znany ze siły i odwagi, podjął się tego zadania i został na noc na placu budowy.

Znużony długim czekaniem zdrzemnął się na chwilę. Zbudził go stukot końskich kopyt. Przetarł oczy i zobaczył przedziwny obrazek. Na białym rumaku siedziała młoda i piękna pani. Promieniowała z niej wdzięk, dobroć i królewski majestat. Otoczona była światłem tworzącym wokół niej aureolę. Długa suknia, utkana ze śnieżnobiałej materii, przepasana była błękitną szarfą. Zorientował się, że to sprawczyni całego zamieszania. Chciał do niej przemówić, ale zniknęła.

Rano z przejęciem opowiadał chłopom i sołtysowi, co widziały jego oczy. Gromada zgodnie uznała, że Maciek zasnął, wszystko to mu się przyśniło, a żartowniś po raz kolejny z nich zakpił, przynosząc deski i kamienie.

Postanowili, że następnej nocy pójdą pilnować we trzech. Ci rankiem opowiedzieli tę samą historię, co Maciek. Tym razem trudno było nie wierzyć.

Opowieści przysłuchiwał się również Staszek.

– Toż to Najświętsza Panienska! Taka samiusieńka jak w moim śnie – wykrzyknął.

Teraz już kręcinianie wiedzieli, że wolą Bożą jest, by kościół stanął właśnie tam, gdzie wskazywała Pani.

W pewien jasny poranek, w dzień poświęcony Najświętszej Marii Panience, żona Stacha powiła ślicznego synka. Tej samej doby z wieży kościelnej po raz pierwszy popłynął w dal dźwięczny głos dzwonu ogłaszającego, że w Krzęcinie mają kościół.

Tak spełnił się sen proroczy Stacha.

A życie dopisało ciąg dalszy. Kościół miał być pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, ale urzędnicy w kurii, jak to się zdarza wszystkim urzędnikom na świecie, coś pomylili i świątynia nosi miano Narodzenia Najświętszej Marii Panny.

Opracowanie:
Renata Bysina i Agnieszka Mikulec

Śasiedzkie nazwy

Wiek XIII to w dziejach Polski niezwykle niespokojny okres. Rozbicie dzielnicowe osłabiło ojczyznę. Wrogowie z północy i ordy tatarskie z południa pustoszyły kraj, paląc i mordując. Jak co roku na wiosnę chłopci z Bronaczowej z niepokojem spoglądali na południe, nasłuchując nadciągającego wroga. Wiele już lat panował spokój i tylko ostrzeżenia starszyny wymuszały takie zachowanie. Młodzi jednak, niepamiętni na ostrzeżenia ojców, zaniedbywali obowiązku, aż stopniowo zupełnie o nim zapomnieli.

Wiosna zapowiadała urodzajny rok. Po lekkiej zimie łąki zazieleniły się trawą, a obsiane pola przepowiadały obfite zbiory. Zadufani w sobie chłopci z zadowoleniem patrzyli w przyszłość. Nic nie zapowiadało nadchodzących wydarzeń.

Niebezpieczeństwo spadło znienacka. Krzyki ludzkie, rżenie koni i płacz dzieci wypełniły okolicę. Ordyńcy wpadli do domów, budząc jeszcze śpiących. Sprytniejsi uciekali do lasów, ale starcy, kobiety i dzieci zgromadzono już na placu w centrum wsi. Wiedzieli, że czeka ich jasyr, dlatego niektórzy, narażając życie, zdecydowali się na ucieczkę do lasu, który znajdował się nieopodal. Było to tym łatwiejsze, że Tatarzy przystąpili do regularnego przeszukiwania i plądrowania chat. Czynili to z ogromnym pośpiechem, chaotycznie i robiąc ogromny bałagan. Kiedy przeszukali domostwa, zaczęli podpalać domy. Płomień płoszył konie, powstał nieopisany mętlik i kłębowisko ludzkie. W tym bałaganie trudno było poznać, kto obcy, a kto swój.

Przelotny deszcz zmył kurzawę i dogasił jeszcze tłące się chaty. Powoli z lasu wynurzali się ludzie, którzy wyglądem przypominali raczej duchy niż żywe istoty. Ze smutkiem i trwogą patrzyli na dzieło zniszczenia. Wreszcie jęk kobiet i ich zawodzenie rozeszły się po okolicy, kiedy zobaczyli ciała zabitych. Widok nadtlonych i odymionych ludzkich zwłok przypominał im o bolesnej stracie.

Do późna trwały obrzędy pogrzebowe. Ciała dzieci, ojców, dziadków i matek układano na stosach drewna i przy wtórze żałobnych pieśni oddawano ich dusze Bogu. Nazajutrz wieczorny wiec zapowiadał się niezwykle burzliwie. Miano decydować o przyszłości osady.

- Musimy się wynieść. To przekłete miejsce. Niedługo ordyńcy będą – mówili jedni.
- Trza pobudować nową osadę – wtórowali drudzy.
- Ale gdzie?
- My RADZIM, żeby pobudować w dole rzeki. Bliski Kraków nas obroni i tam będzie można się schronić.

– My zaś WOLIM w górę rzeki. To miasto zesłało nam pożogę.

Księżyc wznosił się wysoko na czarnym niebie, a oni nie mogli się dogadać co do przyszłej osady. Zmęczenie sprawiło, że powoli kładli się przy ogniu i zasypiali. Zapadła cisza przerywana jedynie chrapaniem i postękiwaniem.

Rankiem poczęli przygotowywać się do drogi. Pozbierano to, co ocalało. Dwa korowody ruszyły w przeciwnych kierunkach. Żegnali się ze sobą, mając w oczach rozpacz i ból rozłąki. Nie odeszli jednak daleko. Zbyt silna więź ich jednoczyła. Tak powstały sąsiadujące ze sobą dwie wsie. Jedną z nich jest RADZISZÓW, drugą WOLA RADZISZOWSKA.

Opracowanie:

Witold Grabiec

Powyższa legenda znajduje się w monografii
„Wola Radziszowska – moja rodzinna wieś”

Bibliografia

Informator nr 5 Towarzystwa Przyjaciół Skawiny, Skawina, czerwiec 1985
Informator nr 8 Towarzystwa Przyjaciół Skawiny, Skawina, grudzień 1985
Informator nr 57 Towarzystwa Przyjaciół Skawiny, Skawina, grudzień 2005
Informator nr 60 Towarzystwa Przyjaciół Skawiny, Skawina, maj 2007
Różycki H., *Umarła Babka w Skawinie*, Skawina 1998
Wola Radziszowska – moja rodzinna wieś, Skawina 2007
Zinkow J., *Wokół Tyńca i Skawiny*, Kraków 1995